

474

399



Z ŻYCIA.

~~434~~

02124

EDWARD MALISZEWSKI.



Z ŻYCIA.

264



WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“

Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава 9 Августа 1899 года

02124



Mieszkaliśmy we dwóch ze Stachem Pelką w niewielkim pokoju, na trzeciem piętrze oficyny dużego, mrocznego domu. Z jedyne go okna mieliśmy widok na szaro-brudne ściany przeciwległych oficyn, formujących jeden bok regularnego czworokąta. Wyglądało to jak dobrze ocembrowana studnia, której dno tworzyło niewielkie podwórko, wylane asfaltem. Turkot, dochodzący z ulicy, głos służby, kłócącej się w bramie, śmiech w kuchni, trzaśnięcie drzwiami, a nawet sonaty, od świtu do ciemnej nocy z wściekłością wygębniane na fortepianach,—wszystko przybierało tu jakieś ostre, metaliczne brzmienia. Czasem zabląkał się tu snop jasnych, słonecznych promieni, przywodząc na myśl wspomnienia o innym, biegunowo różnym świecie, pełnym powietrza, światła, zieloności, szczebiotu ptasząt i—szerokiego, swobodnego rozmachu skrzydeł.

Tego ostatniego, co prawda, nie brak było i nam.

Codzień przed wieczorem, gdyśmy już wrócili do naszego wspólnego mieszkania: ja od swych zwykłych dziennikarskich zajęć, a Stach najczęściej z włóczki po mieście — rozpoczynały się ożywione rozprawy na tematy przeważnie w bliskim związku ze sztuką, a więc i poezją, będące. Stach bowiem był poetą. Poetą, aczkolwiek jeszcze niezbyt głośnym, tem niemniej jednak zapowiadającym się jako wybitny i oryginalny talent.

Przed kilku laty, będąc żółtodziobym studentem, zaniósł pewnego razu pierwociny swych natchnień, w postaci paru dłuższych poematów, jednemu z literatów, znanemu ze swej bezstronności w sądach i bystrego krytycznego umysłu. Ten, po przeczytaniu owych utworów, nietylko przyznał ich autorowi talent, lecz nawet potrochu zachęcał go do poświęcenia się głównie poezji, przepowiadając mu na tej drodze znakomitą przyszłość. Zarazem jednak ostrzegał go, iż powodzenia materyalnego, szczególnie w początkach, spodziewać się trudno, co zresztą żadnego wrażenia na młodym słuchaczu nie zrobiło. Otrzymałszy taką zachętę, Stach, ufny już teraz we własne siły, zabrał się z zapalem do dalszej pracy. Pisał, przerabiał, doprowadzając wiersz każdy do możliwej dźwięczności i potoczystości. Lecz gdy nareszcie uznał sam utwory swe za godne drukui zwrócił się z niemi do redakcyi jednego z pism literackich z prośbą o ich wydrukowanie—spotkał się z odmową, motywowaną zbyt obszernymi rozmiarami poematów. To samo czekało go w drugiej, trzeciej i czwartej re-

dakcyi. Powody przytaczano najrozmaitsze: jeden redaktor twierdził, iż obecnie publiczność wołałaby raczej dać się zarząnąć, aniżeli czytać jakikolwiek dłuższy poemat, a tembardziej trzymany w poważniejszym tonie, drugi tłómaczył się brakiem miejsca, inny znowu pytał przedewszystkiem o nazwisko autora, gdyż, jak mówił, jeśli podpis pod wierszami potrafi przemówić do serc czytelników, wówczas i utwór sam będzie budził powszechny zachwyt i będzie zwiększał w ten sposób poczytność pisma, nieznane zaś nazwisko autora wywołać może, co najwyżej, grymas niezadowolenia na twarzach prenumeratorów.

Była to dla Stacha porażka na całej linii: i w tem jednak strapieniu nie obeszło się bez pewnej pociechy—mianowicie: nikt nie odmawiał mu talentu, przeciwnie nawet, z paru życzliwszych ust usłyszał gorące pochwały, które nie pozwoliły mu stoczyć się na dno zwiątpienia. A był już bliskim tego: najdroższe bowiem jego marzenia, wykołysane i wypieszczone podczas długich godzin rozmyślań, raptem odsuwały się w niewiadomą, pewno daleką, przyszłość, stawały się bodaj że nieziszczalnemi, a przynajmniej niemożliwemi do urzeczywistnienia na teraz. Po cóż więc obecnie miał pisać? w jakim celu? Nie na to przecież poświęcał tyle czasu, pracy i sił, nie na to przechodził czyścowe męki tworzenia, nie na to wreszcie przelewał na papier najistotniejszą treść swego umysłu, aby ten, z krwawych wysiłków zrodzony dobytek ginął w zamkniętej szufladzie, znany tylko kilku najbliższym. Niel on chciał przemawiać do wszystkich,

zdolnych odczuć i rozumieć duszę poety, chciał rzucić ludzkości pęk jasnych promieni, choć trochę rozświetlających zawile zagadki wszechbytu, dręczące je od dawien dawna z pokolenia w pokolenie, chciał budzić do życia drżące siły narodu, donośnym głosem wywołując promienne hasła postępu! Tymczasem teraz, jak Tantal, męczył się i rozpaczał, przygniatały brzemieniem bezpłodnych wysiłków: z im większym zapalem zabierał się do pracy, aby nareszcie dostać się na to pole, gdzie można pracować z największym stosunkowo pożytkiem dla ogółu, tem dalej usuwał się ów upragniony ideał.

Pływały miesiące bezbarwne, smutne, gdy kiedyś, niespodzianie, zetknęliśmy się ze sobą. Prędko odżyła dawna znajomość, jeszcze na ławach gimnazjalnych zawarta. Stach, który obecnie uczuwał potrzebę mieć koło siebie jakieś życzliwe serce, z którymby mógł dzielić swe strapienia, natychmiast umówił się ze mną o wynajęcie wspólnego mieszkania i wkrótce chudoba każdego z nas mieściła się w jednej połowie niedużego pokoiku.

Rad byłem niezmiernie z tego spotkania: oprócz bowiem oddawna datującej się życzliwości, uczuwałem względem jego osoby niezwykle ciekawość—ciekawość psychologa, natrafiającego na rzadki okaz duszy ludzkiej. Była to dusza rzeczywiście niepospolita, dusza mocna, jedna z tych, których przeznaczeniem jest porywać, podnosić, uszlachetniać, z pieśnią na ustach prowadzić nas ku złocistemu brzaskowi, gdzieś daleko majaczącemu na widnokręgu. Po-

dziwiałem w nim przedziwny zapal, siłę przekonań, jasność umysłu, i ów czar, ową moc natchnienia, która zmusza słuchających wierzyć, ufać i ze zdwojoną energią dążyć naprzód po wskazanej ścieżce. Im lepiej poznawałem głębie i tajniki jego duszy, im dokładniej zarysowywała mi się przed oczyma jej wyrazista sylwetka, tem potężniejsze fundamenty murowałem we własnym umyśle pod wykończony już pogląd na świat. A była niedawno chwila, kiedy ten mozolnie wznoszony gmach chwiał się, rysował i w gruzy miał rozpaść za jednym jeszcze podmuchem krytycznego wiatru. Naszkicowałem sobie bowiem we wczesnej jeszcze młodości następujący zarys filozoficznego całokształtu poglądów:

Ludzkość nie jest stadem bydła, zadawalającego się dniem dzisiejszym, jest raczej gromadą istot usłoleczniowanych, świadomych swoich celów, streszczających się w dążeniu do powszechnego szczęścia. A jak wojsko bez wodza nie jest wojskiem, lecz niesforą hordą, oddaną na pastwę losu, tak i gromada ludzka, złożona z osobników różnego stopnia umysłowego rozwoju, bez przewodców, nie jest zorganizowaną społecznością, gdyż tłum, choćby z najinteligentniejszych jednostek złożony, pozbawiony kierowników, rządzi się zawsze owczym pędem. Jeśli kto, straciwszy głowę, krzyknie: uciekajmy!—i rzuci się w przepaść, wszyscy będą go naśladowali. Niezbędna więc jest potrzeba przewodców, wskazujących drogę. Na tak ważne stanowisko nie zaprosimy jednak ani hrabiego, ani tembardziej robotnika, gdyż panowie ci pogrążeni po uszy

w kastowym egoizmie, żadnych w gruncie rzeczy kwalifikacyi po temu nie posiadają. Miejsca te zająć powinni ludzie, których osobista wartość wyniesie ponad zwykły poziom, mianowicie jednostki, posiadające przede wszystkim możliwie wyrobiony umysł i gorące umiłowanie ideału. oraz potęgę słowa i zapal, elektryzujący otoczenie.

Tymczasem poznawałem coraz lepiej świat i ludzi i z chaosu wciąż nowych wrażeń zwolna zaczął wyłaniać się wniosek — najmniej spodziewany. Oto pomimo iście gorączkowej ciekawości, z jaką starałem się wynajdywać owych upragnionych przodowników społeczeństwa, nie napotkałem nawet ich śladu. Ludzie bowiem, pod względem aspiracyi niematerialnych, poprzestają wogóle na małym: małe dążenia, małe czyny, małe rezultaty — wystarczają im w zupełności. Nicose władz moralnych i umysłowych żre im mózg i wysysa szpik z kości, a mimo to wciąż z uporem trzymają się ohydneho „złotego środka“, będącego zawsze grobem wszelkich indywidualności. Naturalną jest rzeczą, iż na takim gruncie niełatwo, chyba wyjątkowo, wyrosnąć może jakaś potężniejsza organizacja duchowa. Wyrastać jednak musi, bo inaczej — czemże byłaby ludzkość? Zresztą i w tym goniącym tylko za marnemi uciechami, bezbarwnym tłumie tkwią, mniej lub więcej świadomie, pewne pośredniejsze pragnienia, które należy koniecznie rozniecić, ożywić i pchnąć wreszcie na właściwą drogę.

Lecz tych duchów potężnych i czystych, mimo usilnych poszukiwań, nie znalazłem. Daremnie za-

glądałem w dusze bardziej zajmujących jednostek z pośród grona moich znajomych, daremnie przedostałem się w sfery wyższej inteligencji, znane pod nazwą „przodujących społeczeństwu“, by tam studyować ciekawsze osobniki, daremnie śledziłem życie i czyny wszelkich wybitniejszych jednostek, jaśniających obecnie na naszym zacieśnionym widnokręgu — wszyscy ci mniemani przodownicy okazywali się, po bliższem poznaniu, stworzonymi „raczej na miarę krawca, niż Fidyasza.“ Ludzi dobrych, rozumnych i bardzo rozumnych bynajmniej nie brakowało, lecz te tylko kwalifikacye były jeszcze niewystarczające. I ogarnęła mnie przygnębiająca niepewność, zatrzymująca mi niepokojem jasny dotychczas i przejrzysty gmach poglądów...

Wówczas to spotkałem się ze Stachem. Znałem go przed laty jeszcze wyrostkiem i wtedy już zastanawiała mnie jego siła charakteru, lotność wyobraźni i dziwny wpływ, jaki wywierał na kolegów. Gdy mówił, słuchali go wszyscy, nie wyłączając źle usposobionych; gdy rozkazywał, spełniali rozporządzenie bez wahania, a nawet z widoczną przyjemnością. Był też naturalnym prowodyrem klasy we wszystkich ważniejszych przedsięwzięciach.

Teraz polor towarzyski starł zeń zewnętrzną powłokę oryginalności i upodobił go z wyglądu przeciętnemu „inteligentowi.“ Lecz po paru dniach bliższej znajomości przekonałem się, że składniki wewnętrznej jego treści pozostały niezmienione: ten sam zapal, ta sama bujność fantazyi i potęga słowa, co

dawniej, tylko jeszcze bardziej wykształcone i pogłębiane, były zarówno z jego poematów, które odczytywał nam zwykle głośno, jak i z rozumowań, w które niemniej lubił się zapuszczać. To też rad byłem ze szczęśliwego trafu, który pozwolił nam spotkać się ze sobą. Odtąd już nie mogły mnie dręczyć wątpliwości, podobne do tych, jakie mnie gnębiły tak nie dawno. Miałem bowiem przed sobą w Stachu żyjący dowód, że duch ludzki nie tylko potrafi wznieść się wysoko ponad poziomy, lecz także zdoła stale, nie zniżając lotu, przebywać na raz zajętych wyżynach. Stach, co prawda, był dotychczas zaledwie aspirantem do wybitniejszego miejsca w społeczeństwie, będąc jednak młodym, nie potrzebował się zbytnio śpieszyć; przytem z czasem z łatwością mógł je zająć, gdyż posiadał niezbędne po temu warunki — należało mu tylko wykazać przed światem swe zdolności.

Uplynęło parę miesięcy gorączkowej pracy, przerywanej tylko kiedy niekiedy dłuższymi odpoczynkami, gdy niespodzianie otrzymaliśmy wiadomości o śmierci ojca Stacha. Pan Franciszek Pelka, zdomowiony wieśniak prowincjonalista, nie mogąc od dłuższego już czasu zrozumieć dążeń syna, przypuścił w jakimś głuchym, piaszczystym zakątku na niewielkiej dzierzawie, z kądem parę razy do roku przesyłał synowi drobne zapomogi, jako jedyny znak swego istnienia i miłości ojcowskiej.

Stach jeździł na pogrzeb. Następnie zabawił tam parę tygodni dla uregulowania interesów, i gdy

wrócił, to nie bez pewnego zadowolenia, jakie zawsze daje zdobyta siła. Siłą tą było teraz parę tysięcy rubli, otrzymanych po zrealizowaniu spadku. Przy ich pomocy miał nadzieję podbić świat.

Natychmiast ułożył plan kampanii. Tyle a tyle będzie kosztowało wydanie paru poematów, — reszta pozwoli mu tymczasem spokojnie oczekiwać powodzenia. Aby jednak nie wypuścić z rąk zwycięstwa, zabrał się pierwszej do nowego przeglądania i przetwarzania utworów, uznanych za najlepsze i godne druku.

Ślęczał nad tem zadaniem parę długich miesięcy. Gdy to skończył, musiał przystąpić do czynności wydawniczych. Nareszcie i te kłopoty zostały ukończone i pewnego wieczoru Stach, rozpromieniony, pokazał mi ozdobnie wydaną książeczkę, obłożoną gustowną okładką, na której wyraźnie czerniły się tytuły poematów: „Na szczytach.“ „Z wrażeń.“ Długo w nocy, słuchając podszeptów wiecznie młodej nadziei, głośno snuliśmy pasmo wrażeń, wierząc, iż talent zostanie należycie oceniony i ciekawi czytelnicy długo na siebie czekać nie dadzą.

Przez parę dni następnych, Stach przyjmował powinszowania od kolegów i znajomych. Wszyscy z zapałem mówili o świeżo wydanych utworach, przepowiadając im wielkie powodzenie.

Czas schodził na ożywionych pogadankach, które Stach starał się teraz przedłużać do nieskończoności, pragnąc jaknajbardziej skrócić chwile oczekiwania na publiczne oceny swych utworów.

Ułękło jednak parę tygodni i pomimo rozesłania przez Stacha wszystkim prawie redakcyom po egzemplarzu swych utworów z prośbą o ich ocenę, nie spotkaliśmy o nich nawet wzmianki. Stach począł się niepokoić, lecz uspakajałem go zapewnieniem, iż sprawozdawcy nie mieli jeszcze czasu w nie się wzytać i dlatego właśnie lepiej jest, iż się oceny później ukażą, bo będą niezawodnie bardziej wyrozumowane i słuszniejsze.

Aż wreszcie ukazała się w jednym z pism kilkunastowierszowa notatka o świeżo wydanych utworach poetycznych Stanisława Pełki, potem w innem piśmie kilkuwierszowa wzmianka, znówu trochę dłuższa notatka i dwie oceny, a następnie jeszcze kilka wzmianek i notatek. Z niezmierną ciekawością studiowałem te krótkie, często dorywczo, na kolanie pisane sprawozdania, były one bowiem dla mnie głównym sprawdzaniem wytwarzającego się obecnie nastroju opinii publicznej względem początkującego autora, pragnąłem więc z nich wywnioskować, jaki obrót przybierze walka, zawiązująca się między wybitnym talentem a zwartym tłumem miernot.

Wkrótce nie pozostawało już żadnej wątpliwości: była to stanowcza dla Stacha porażka!

Wszystkie krytyki były dziwnie jednomyślne aż do głupoty. Wszystkie zarzucały Stachowi niepotrzebne, ich zdaniem, lubowanie się w abstrakcyach i brak zrozumienia ducha czasu, a przytem wszystkie starały się najwidoczniej unikać jakichkolwiek pozytywnych wniosków o rozpatrywanych

utworach, to też rozlewały tylko na szpaltach pism całe beczki zamarynowanych ogólników, nieraz dobrze trącających myszką. Jeśli ganiły, to ostrożnie, widocznie łagodząc rozmach pióra, wyostrzonego na na garbowaniu skór przeciwników — a jeśli chwaliły, to półgębkiem, i z tyłu zastrzeżeniami, że już lepiej było, kiedy ganiły.

Wobec tak obojętnego przyjęcia u krytyków, nie było co marzyć o lepszym powodzeniu u publiczności. Przez dwa miesiące rozkupionych zostało zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy; reszta miała zostać zdobyczą handlarzy makulaturą.

Widziałem dobrze jaką przykrością było dla Stacha to niepowodzenie: schudł, posmutniał, usiłował jednak minąć nadrabiać.

— Słuchaj-no, Felek! — mówił mi nieraz. — Ty musisz mieć tu jakiego znajomego szewca. Zapytaj go się, z łaski swojej, czyby nie zechciał przyjąć mnie na terminatora. Byłbym ci nieskończenie wdzięczny...

Poczem, jakby dla wytłómaczenia się, dodawał:

— Bo widzisz... ja nie chcę być społecznym zerem. Jeśli nie potrafię tworzyć dobrych wierszy, to może choć nauczę się szyć ucziwie buty.

Tymczasem jednak po kątach gryzł ręce z bólu.

Wiele zużyć musiałem nadaremnych wysiłków, zanim zdołałem go przekonać, iż nie przytrafiło mu się bynajmniej druzgocące nieszczęście, lecz tylko prosta nieprzyjemność, ponieważ wzmiankowanych krytyk niepodobna brać na seryo, jako pisanych

przez ludzi, nie mających pojęcia o ważności zajmowanego przez się miejsca, i wskutek tego ferujących wyroki wyłącznie według swego widzimisie. Najlepszy jednak plaster na jęczące się rany przyłożony został niebawem umiejętną ręką jednego z pierwszorzędnych krytyków.

Krytyk ten, ogólnie poważany dla swej prawości i sumienności, po upływie trzech kwartałów od chwili ukazania się w handlu księgarskim utworów Stacha, zamieścił dłuższą ich ocenę w jednym z tygodników, poświęconych głównie literaturze. Przedewszystkiem zwrócił w niej uwagę na rozpanoszone obecnie w naszym piśmiennictwie reporterskie sprawozdania i krytyki, które, czy chwala, czy ganią, zawsze wyrządzają krzywdę brany na męki autorom. Następnie, delikatnie omijając drażliwą kwestyę, od razu zabrał się do rozpatrywania poematów. W dłuższym rozbiorze podnosił wybitniejsze z nich ustępy, nie szczędząc słów uzrania dla niepospolitych zdolności autora, aż wreszcie, sumiennie zobrazowawszy wszystkie strony dodatnie, przeszedł do ujemnych. Wykazywał mianowicie pewne braki w kompozycji całości, składające się na niedostateczną jednolitość utworów; zarzucał także zbytęchną bujność stylu i nadmierną obfitość przenośni, zaciemniających tylko i bez tego wymagającą przy czytaniu znacznego skupienia uwagi myśl przewodnią każdego poematu. Wyliczywszy jeszcze kilka zauważonych niedokładności językowych, zakończył sprawozdanie swe uwalniając, iż poematy te, pomimo wymienio-

nych usterek, zapewniają ich autorowi niepoślednie miejsce pośród żyjących poetów polskich.

Ocena, pisana obiektywnie i utrzymana w poważnym nastroju, zrobiła na Stachu piorunujące wrażenie. Cieszył się, jak dziecko, odczytując ją po raz chyba dwudziesty, jakby dla dokładnego zapamiętania każdego z zamieszczonych tam zdań.

— No—mówił wesoło—teraz już do szewca nie pójdziemy. Może i pod chorągwią poezji jakiego stopnia się dosłużymy. Teraz już przynajmniej wiem, jakich się zbrodni dopuściłem, a więc będę mógł nadal wystrzegać się podobnych braków. Zresztą wiadomo, iż każde piskie literackie, zanim wykluje się z powijaków frazeologii i w zupełności zapanuje nad formą, musi wprawdzie wyczerpać całe morze atramentu i zużyć roczną produkcję największej fabryki stalówek w Birmingham. Ja zaś jeszcze tego nie uskuteczniłem, a więc—do pracy!

I z nowym zapalem wziął się do tworzenia.

Popłynęły znowu dni jednostajne, blade napozór, lecz dające wielkie zadowolenie z posuwającej się wciąż naprzód pracy. Mijały wesoło, gdyż fantazyi i humoru nigdy nam nie brakowało. Wieczory spędzaliśmy zwykle na ożywionych pogawędkach, częstokroć w towarzystwie kilku kolegów. Potem, podnieceni, zasiadaliśmy do pisania.

Rwaliśmy się bo wówczas do pióra, jak koty w marcu do miłości. Stach, że tak powiem z profesyi; ja zaś, oprócz codziennego obowiązku

Z życia. Tygod. dod.-bezp. do „Gazety Polskiej“



bienia polityki w dzienniku, usiłowałem przelewać na papier wspomnienia swe i wrażenia, ujęte w formę dłuższych lub krótszych opowiadań,—poczem, naturalnie, te plody natchnienia profana chowane były pod klucz aż na spód szuflady. Pisaliśmy w dzień, wieczorem i w nocy, i znowu zrana, korzystając z każdej chwili, aby wyrabiać i udoskonalać pióro, owo narzędzie życia ludzkiego, posiadające już teraz pierwszorzędne znaczenie.

Lecz po upływie pewnego czasu widnokrąg nasz począł się znowu zachmurzać: kapitał Stacha był już na wyczerpaniu. Nie na wiele przydały się oszczędności, jakie teraz na gwałt począł robić, zmniejszając o ile można wszelkie wydatki, aby choć trochę przedłużyć dotychczasowy znośny byt; nie na wiele też zdały się usilne starania o jakiegokolwiek płatne zajęcie: wszędzie pytano się go przedewszystkiem:

— Czem-eś się pan zajmował dotychczas?

— Pisanem poezyi.

Następowało litościwe, a właściwie bezlitośne wzruszenie ramion—i tyle.

Gdy jednak fundusik wciąż topniał szybko i w kasie pozostawało zaledwie dwadzieścia rubli, należało przedsięwziąć natychmiast stanowcze kroki dla zabezpieczenia możności dalszego istnienia. Złożyliśmy tedy we dwóch ze Stachem walną naradę, na której, mając prawo pierwszego głosu, postawiłem odrazu wnioszek, aby zwrócić się do redakcyi którego z pism, z prośbą o wydrukowanie jednego ze świeżo przezeń wykonanych utworów; propozycya taka

możliwą jest do przyjęcia teraz, gdy nazwisko Stacha znane już jest w literaturze.

Lecz Stach zerwał się szybko i począł mówić z widocznem rozdrażnieniem.

— Co!? Ja mam znowu puścić się na zebrani-nę? Znowu błagać pokornie, omal że nie ręce lizać? Znowu znosić lekceważące przyjęcie? I w rezultacie, jak i przedtem, nie nie otrzymać? Nie, mój drogil Przeszedłem już raz przez to, i czuję dobrze, że siłby mi zabrakło na powtórne przebycie tej cierniowej ścieżki. Wolałbym raczej nosić ciężary, tłuc kamienie na drodze, lub wreszcie pod pociąg się rzucić..

Nie miałem w tej kwestyi nic już więcej do powiedzenia: była to bowiem widocznie zbyt drażliwa dla niego propozycya. Należało jednak koniecznie coś uradzić. Wiedziałem dobrze tylko o jednym: mianowicie, że Stach, po za obrębem poezyi, nie był właściwie zdolny do żadnego zajęcia: zbyt długo zajmował się niemal wyłącznie układaniem wysnuwanych obrazów i myśli w okresy i pojedyncze zdania i zakuwaniem ich w jednobrzmiące końcówki, zbyt długo przyzwyczajał się uważać za rzeczywistość jedynie plody własnej wyobraźni, zbyt długo wreszcie żył życiem duchowem, daleki od trosk i zabiegów realnej rzeczywistości, ażeby mógł teraz choć na czas jakiś włożyć na się jarzmo jednostajnej, spokojnej naporoz, lecz natężonej, codziennej, obowiązkowej pracy. Mógł żyć obecnie tylko dla poezyi i przez poezję. Lecz praca jego na tem polu nie została dotychczas uznana. A więc, czyż nigdy nie będzie za-

liczony w poczet pożytecznych i niezbędnych członków społeczeństwa? czy zawsze ma pozostawać na stanowisku paryasa, żyjącego tylko ochłapami, rzucanemi mu od czasu do czasu ze stołu możnych? Zagłębiłem się w tych rozmyślaniach, pragnąc wynaleźć nie przewodnią, któraby mi pozwoliła wskazać Stachowi drogę do wyjścia z tego przykrego położenia. Wiedziałem przytem, że ofiarowywać mu jakąkolwiek pomoc materyalną na nieby się nie zdało; przeciwnie nawet, pogorszyłoby tylko znacznie sytuację. Stach bowiem był w kwestyach pieniężnych niezmiernie drażliwy: pożyczek nigdy nie zaciągał i nawet zaofiarowanej bezwarunkowoby nie przyjął, żyć też na cudzy koszt nie chciałby i przez dzień jeden. Było to więc błędne koło, bodaj że bez wyjścia. Rozmyślać na ten temat można było do nieskończoności. Stach też puścił wodze myślom i wsparty na łokciu, siedział cichy, nieporuszony.

Zmrok zwolna począł zasnuwać kąty pokoju. Na dworze szumiał jesienny wicher, bałwaniąc wielkie, mroczne chmury, przewalające się tuż prawie nad dachami domów. Wieczór zbliżał się przedwcześnie. Pomału, niepostrzeżenie, sprzęty w pokoju poczęły tracić swą wyrazistość, zacieraly się, zlewały z sobą, aż wreszcie ciemność otoczyła nas zupełna.

Stach westchnął, lecz nie przerywał milczenia. Myśli nasze przerażały się zwolna w marzenia, coraz bujniejsze i rozkoszniejsze, w miarę, jak wciąż doskonalsza cisza i gęściejsze mroki zasłaniały i oddalały świat realny.

Nagle dzwonek u drzwi ostro zabrzączał. Szybko zerwaliśmy się z krzeseł, zdziwieni i zaniepokojeni tym gwałtownym dysonansem. Stach począł szukać zapalek, ja zaś pobieglem otworzyć drzwi. W jasno oświetlonej sieni ujrzałem dwóch najlepszych znajomych: Zynia i Apellesa.

Przywitaliśmy się serdecznie, poczem usunąłem się na bok, robiąc wolne wejście. Widocznie jednak Stach nie znalazł dotychczas zapalek, gdyż ciemno było, jak w kałamarzu.

Zynio, stojąc we drzwiach pokoju, począł pytać rubasznym tonem:

— A to co, u licha? Pchła wam zdechła i po grzeb jej sprawiacie? Czy może Eusapię Palladino sprowadziliście sobie na jedno posiedzenie? Czemu to u was tak ciemno?]

— Nie ma kto z was zapalek?—zabrział z głębi pokoju głos Stacha.

— Czy to na Olimpie zapalki nie są jeszcze w użyciu?—pytał dalej Zynio. — Prawda, tam, gdzie błyszczy Afrodyta i inne boginie, światło jest nie na miejscu. No, Apellesie, pal, ile wlezie! zrobimy im iluminację.

Przy świetle zapalonych odrazu kilku zapalek ujrzeliśmy Stacha, szukającego wciąż zguby.

— Apollinie! Na miłość Boga! Pękło ci coś!—zawołał znów Zynio z wielkiem przejęciem.

Stach natychmiast zaprzestał poszukiwań i począł oglądać swe ubranie. Zmiarkowawszy jednak z naszego śmiechu, że to tylko żart, zaczął nareszcie

witać się z gośćmi, rozweselony nietyle konceptem Zynia, ile ogólną atmosferą niewymuszonej wesołości, jaka po niedawnym przygnębieniu poczęła nas ogarniać ciepłem objęciem.

Zapalono lampę, i rozmowa, będąca dotychczas beładną wymianą zdań, zwolna wchodziła na tory ożywionej, zajmującej dla wszystkich pogawędki. Tylko Zynio, chodząc po pokoju, często ją przerywał z humorem wypowiedzanymi uwagami.

Nazywał się on właściwie Zygmunt Złyński, a przezwisko: „Zynio“ urobione zostało z połączenia brzmień imienia jego i nazwiska. Była to ze wszech miar ciekawa osobistość, ciekawa szczególnie z powodu dziwnego połączenia zewnętrznej formy i wewnętrznej treści, nietylko różniących się znacznie między sobą, lecz nawet z pozoru wprost wyłączających jedna drugą. Krępy, przysadkowaty, z szeroką, pełną twarzą, ogoloną z powodu słabego zarostu, z dużym, mięsistym nosem, zresztą młody jeszcze chłopak, nie posiadał bynajmniej powabnej powierzchowności. Przytem niełatwo było odnaleźć w nim, przy bliższej nawet znajomości, jakichkolwiek zalet umysłowych. Drwił sobie ze wszystkiego, jak najpospolitszy chłystek, poważne rozmowy przerywał zwykle ucieśnieniami konceptami, nie wierzył, a przy najmniej udawał niewiarę, w nic i nikomu, jednym słowem — zachowywał się, jak tyśiące blagierów, osłaniających w ten sposób nicość swego umysłu. To też gdyby nie to, że okazał się szczęśliwym posiadaczem pewnej dozy literackiego talentu, przeszedłby

był przez życie, nie pozostawiwszy po sobie śladów więcej od jednodniowego motyla. Znano-by go tylko z lekkiej strony i ceniono-by go też lekko. Dopiero przed paru laty zaczął umieszczać w pismach realistycznie pisane obrazki, przeważnie z życia ludu, z których były świeżość i moc niepospolitego umysłu. Następnie, z rozwinięciem talentu, przeszedł do powieści, których napisał parę, dobrze przyjętych przez krytykę i publiczność. W utworach tych ujawniły się takie strony ducha, jakich nikt dotychczas nie považylby się w nim podejrzać. Wydawał się płytkim umysłem i sercem, a z obrazków tych i powieści biła głębia uczucia, przyspieszająca tętno serc czytelników; zdawał się egoistą, zajętem wyłącznie korzystaniem z uciech, jakie daje życie, a z pod pióra jego wypływały wzniosłe hasła niczem niezamąconego altruizmu; przytem poglądy swe i przekonania formułował jasno i wypowiadał szczerze, głosem donośnym, nie krępując się żadnymi ubocznymi względami. Tak niezgłębiona przepaść leżała między tem, co pisał, a tem, co mówił i robił, że, pomimo od kilku miesięcy datującej się znajomości, dotychczas nie chciało mi się wierzyć, że nasz znajomy Zynio i powieściopisarz Zygmunt Złyński—to jedna osoba.

Teraz chodził wielkimi krokami wzdłuż pokoju i wydrwiwał Apellesa:

— Powiadam wam, chłopcy, że ten oto kiepski waryat wymalował paskudny obraz, na którym każdy szczegół posiada barwę, wprost przeciwną istniejącej w rzeczywistości: wierzba jest tam purpurowa, niebo

czarne, a żaba różowa. Gdy, ujrawszy ten bohomaz, wyraził mu swój oburzający zachwyt, nasz Apellesik, posiadając rybi charakter, nie odpowiedział mi równie zachwycającem oburzeniem, lecz łagodnie zapytał, czy wiem, co to jest plain airyzm, lub impresyonizm? Zapewniłem go, klnąc się na pamięć swej nierodzonej babki, że już miałem nieprzyjemność poznać się z tem parszywym jagniątkiem, a na dowód, że tak jest, podałem mu przepis, ułożony przez rodzającego się teraz teoretyka szkoły impresyonizmu, na malowanie portretu adeptów tego kierunku malarstwa. Mianowicie: należy wziąć dużo farby zielonej, potem znowu zielonej, potem jeszcze raz zielonej, mieszać to dobrze i zamalować nią odpowiedni kawał płótna. Pod spodem, na objaśniającej kartce, można położyć napis: Apelles, czyli chodzące głupstwo.

Apelles, a właściwie Krzezonowski, zwany tak przez ironię, ponieważ trzymał się jak najdalej od pozostałości klasycznego malarstwa, uśmiechał się wyrozumiale, obyty już widocznie z konceptami Zynia.

— Kpij zdrów! — mruknął tylko, machając ręką.

Po upływie pewnego czasu, gdy już zbliżała się chwila zwykłego wieczornego posiłku, zeszedłem na dół, aby zadysponować usługującej nam stróżce obfetszą tym razem zastawę.

Gdy wracał, usłyszałem znowu Zynia piorunującego:

....— seryo radzę wam sprowadzić sobie Eusa-pię. Powiadasz, że echo jej tryumfów przebrzmiało już w Warszawie. Lecz właśnie to powinno posiadać najwięcej uroku dla was, którzy tak lubicie różne tradycyjki. Przyniosłoby to wam niemało pożytku i przyjemności: jednemu zapomocą duchów wywróżyłaby, czy Salisbury z Krügerem wezmą się kiedy za łby, i jeśli tak, to kiedy to nastąpi, — drugi-by się mógł dowiedzieć, czy poeci zostaną jeszcze kiedy królami stworzeń. Coprawda, nie przypuszczam, aby cię mogła pocieszyć pomyslną przepowiednią, gdyż poezya coraz bardziej schodzi na dziady. Szczególnie szybko odbywa się to przywdziewanie żebraczej torby od czasu, kiedy jej kapłani wystąpili z szumno-brzmiaćcem, lecz niedorzecznem hasłem: sztuka dla sztuki. Wypisawszy te słowa na sztandarze, pozamykali oczy i dążą tam, gdzie ich ślepy traf zaprowadzi. To się nazywa: rozmijać się z życiem.

Stach uśmiechnął się pobłażliwie:

— Przyznam ci się, Zyniu, że wolę, kiedy drwisz. Przyzwyczaiłeś się już do tego rzucania słów na wiatr, i jesteś wtedy w swoim żywiole. Kiedy jednak zaczynasz rozprawiać, zapominasz o tem, że wszelkie dowodzenia powinny się opierać na trwałych podstawach.

— O, królu stworzeń! — zawołał z patosem Zynio, składając przesadny ukłon — bądź tak wspaniałomyślny i spuść na biedną moją mózgownicę promień boskiego światła.

— Zdaje ci się—rzekł Stach — że hasło: sztuka dla sztuki jest niedorzeczne? Lecz jeśli słusznem jest twoje mniemanie, to jakie cele zakładać sobie mają literaci przy pisaniu utworów? Rozpowszechnianie wśród ogółu zacnych myśli i pożytecznych wiadomości? Ładnie to brzmi, nie przeczę, ale czy nie wiesz, że tendencya w dziełach sztuki wywołuje tylko rozłam w ich jednolitości, albowiem tendencya podstawia nogę sztuce, a znowu sztuka często na manowce prowadzi piękną tendencyę? Przecież dwóch srok odrazu za ogony schwytać niepodobna. Jeśli chcę uświadomić społeczeństwu ważniejsze jego zadania, lub też wskazać sposoby najrozumniejszego i najszybszego wprowadzenia ich w wykonanie, wówczas, trzymając pióro w garści, pamiętać winienem o tem, że w danej chwili jestem tylko publicystą, i myśli moje i poglądy powinny wylewać się na papier w formie artykułu, gdyż zresztą w tej tylko sukienice mogą być należycie zrozumiane, przejęte i zapamiętane... W żadnem ucywilizowanym społeczeństwie niepodobna napotkać tak zacofanych poglądów w kwestyach artystycznych, jak u nas, gdzie przysięgli estetycy, dla urojonych korzyści, bałamucają siebie i publiczność..

Tu zatrzymał się na chwilę, aby odsapnąć.

— Wypluteś już? — z ironicznym uśmiechem na twarzy zapytał Zynio.

I, nie czekając odpowiedzi, ciągnął dalej:

— To chwała Bogu! Teraz obetrzyj sobie usta,

boś się zaslinił a następnie całuj się w prawy łokieć przez lewe ramię. Mnie nie przekonałeś...

Stach zerwał się, jakby ukłóty ostrogą, lecz natychmiast pohamował się i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, rzucił wyzywająco:

— Słucham!

Zynio, z tym samym ironicznym uśmieszkiem, lecz głosem spokojnym, w miarę mówienia coraz silniej nabrzmiewającym przekonaniem, zaczął powoli:

— Wszelkie przedsiębrane przez nas czynności, mają na celu dostarczenie ludziom pożytku, lub też przyjemności tylko. Powiadam: tylko, ponieważ życie w swych objawach daje nam już niemało uciech, i przytem dwa te najpotężniejsze czynniki naszego rozwoju tak dziwnie łączą się ze sobą, iż można powiedzieć, choćby to się miało wydać paradoksem, że im większa rozkosz, tem większy pożytek, i nawzajem. Przykładów przytaczać nie będę, ponieważ łatwo możesz je znaleźć w najpospolitszych naszych czynnościach. Dlatego też jestem zdania, iż przyjemność, nie łącząca się z korzyścią, jest zbytekiem, a więc czemś zupełnie nam niepotrzebnem. Mówiąc krócej: wszystko, co robimy, powinno być pożyteczne, gdyż dzieła nasze, niosąc pożytek, tem samem i w takim samym stopniu dawać będą przyjemność, zarówno swym twórcom, jak i tłumom, z nich korzystającym. Wychodząc z tego założenia, żądam od każdego dzieła, zaliczającego się do literatury pięknej, aby, oprócz możliwie doskonałej formy, dawało i treść pożywną, czy to przedsta-

wiając społeczeństwu pewne strony jego życia, mało znane dotychczas, a godne bliższego rozpatrzenia, czy to propagując jaką myśl piękną i zacną, która w formie powieści najprędzej, bo bez umysłowych wysiłków i prawie niepostrzeżenie, może się przedostawać do serc i umysłów. Dwa te pierwiastki: piękno i dobro—nie są to dwie sroki, nie dające się razem schwytać, przeciwnie nawet, łączą się wzajemnie i godzą znakomicie, i tylko w połączeniu ze sobą mogą osiągnąć najwyższe szczyty swego rozwoju. Dlatego to zasadę: sztuka dla sztuki, mającą na celu rozwój samego tylko piękna, uważam za bezużyteczną i wprost bezsensowną... *Disci...*

To powiedziawszy, począł filuternie mrużyć oczy, pragnąc widocznie jakim wesołym konceptem przerwać dalsze rozprawy i tym sposobem pozostać w sporze zwycięzcą.

Lecz Stach, nie dając mu przyjść do słowa, począł mówić szybko, z przejęciem, dobitnie zaznaczając ważniejsze zdania:

— Zaczekaj-no jeszcze chwilkę. Pozwól i mnie parę słów powiedzieć. Pewne wyjaśnienie uważam za niezbędne wobec tego, iż zupełnie błędnie przedstawiasz sobie podjęte przez nas hasło. Mylisz się, utrzymując, iż my, głoszący zasadę: sztuka dla sztuki, usuwamy się tem samem od powszechnej pracy koło dobra ludzkości, a natomiast, skierowując wysiłki w powiewne, błękitne sfery podniebne, zakładamy cel nasz w osiągnięciu chimery—piękna. Nie! my także uważamy za jedynie godną naszego potu

i wysiłków pracę dla dobra mniejszych lub większych gromad ludzkich, my także chcemy ludzi uszlachetniać, podnosić, ożywiać i udoskonalać. Cele więc mamy te same. Różnimy się tylko w doborze środków dla ich przeprowadzenia. Kiedy wy chcecie z bogacać za każdym razem umysły i serca waszych czytelników choćby o jedną zacną myśl lub pożyteczną wiadomość,—my pragniemy rozwijać ludzi duchowo zapomocą czystej sztuki. Spór ten: sztuki z tendencją nie jest bynajmniej nowością w dziedzinie ogólnych poglądów, wyrabianych pracowicie przez każde niemal pokolenie ludzkie. Podobna, prawie identyczna walka wrzała przed kilkudziesięciu laty w pedagogice: i tam belfrowie staro autoramentu uważali za najpierwszy i jedyny swój obowiązek zakuwać w głowy dzieciom różne, przyjęte już oddawna, gotowe formuły i wiadomości, gdy tymczasem pedagogowie nowszych czasów starali się głównie o ogólny, jaknajszerszy rozwój umysłów swych uczniów słusznie dowodząc, iż gotowa formuła łatwo wchodzi, lecz jeszcze łatwiej wylata, i tylko samoistnie przerobiona i osiągnięta staje się nie chwilowym, lecz trwałym nabytkiem. Gdy jednak kwestya powyższa dawno już została rozstrzygnięta, spór literacki wciąż istnieje i nie przestaje robić wiele hałasu, szczególnie w naszym swiatku. Na szerszym bowiem świecie nikt się już nim właściwie nie zajmuje,—sztuka zwyciężyła stanowczo—i tylko u nas publicyści i krytycy, z powodu specjalnych warunków, na wszystko chcą na-

— kładać specjalne powijaki. Kwestya, zdaje się, jest jasna: poglądów nikomu się nie narzuca, boby to chybiało celu, lecz można je wyrabiać. Otóż właśnie pisarze tendencyjni pragną wpajać w umysły czytelników wyrobione już myśli i poglądy, co im się naturalnie nigdy nie udaje, gdy tymczasem pisarze-artyści wszystkie swoje wysiłki skierowują wyłącznie do osiągnięcia najwyższych szczytów artystyzmu, wiedząc doskonale, iż tylko sztuka rozszerza umysł, pogłębia inteligencję, rozwija i kształci uczucia, jednym słowem—podnosi na wyższe szczeble umysłowego rozwoju, na których każdy dobrowolnie i samoistnie wyrobi już sobie następnie te piękne poglądy i przekonania, których nie mógł, czy nie chciał zrozumieć i ocenić podczas wkładania mu ich łopatą...

Mówił to głosem donośnym, gładko, bez mozolnego dobierania wyrazów. Znać było, że wszystko to przerobił i przemyślał już oddawna i teraz wypowiada swe istotne, ostatecznie skryształizowane poglądy, nie rozpraszając się w mniej ścisłym dowodzeniu.

Twarz mieniła mu się podniosłem ożywieniem. Na wysokiem czole, zakrytem w części bujną blond czupryną, znać było skupienie uwagi i przejęcie się rozmową. Rysy wydelikatniały i uwypukliły się wyraziściej, kładąc na twarz piętno niezwyklej inteligencji. Siwe oczy, zwykle zadumane i ciche, gorzały blaskiem wielkich świeczników.

W miękkim, łagodnem półświecie, padającym od przykrytej zielonym kloszem lampy, obserwowałem twarze naszych współbiesiadników, na których malowały się uczucia—niejednakowe. Apelles, zawsze dbały o zachowywanie przyjętych form światowych, w skupieniu ducha, łagodnie tarmosił swą wypieszczoną, przystrzyżoną w szpic bródkę, i tylko delikatny, potakujący uśmiech świadczył o zupełnej jego aprobacie. Co się zaś tyczy Zynia, to ten wsparłszy się o framugę okna i skrzyżowawszy na pierśsiach ręce, nie interesował się już widocznie rozmową: rozweselona jego fizjonomia wskazywała, iż na końcu języka wisiał mu już concept, mający na poczekaniu zmienić nastrój naszego kółka.

To też zaledwie Stach przestał mówić, wiedziałem napewno, że już dziś podobna rozmowa nie da się nawiązać. Zynio natychmiast podjął wątek tematu, aby skierować go na tory, najmniej spodziewane.

— Powiem ci tylko tyle—rzekł, podchodząc ku nam bliżej. — Mowa twoja jest słodka i wonna, jak miód; jednakże, jak na zwykłe wypowiedzenie swego zdania, jest ona zadługa, a jak na porządnie wymotywowany pogląd — stanowczo zakrótką. Lecz musisz mi jeszcze coś powiedzieć: czyś ty widział kiedy zdechłą małpę?

— Nie—ze zdziwieniem odparł Stach.

— A ja widziałem—wtrącił niespodzianie Apelles, uśmiechając się sfinksowo.

— Widziałeś, artysto? No to mów, co ona robiła?

— Ruszała ogonem, jak to, nie przymierzając, jeden z moich znajomych chce teraz zrobić z dowcipem.

Wybuchnęliśmy głośnym śmiechem, gdyż, przedewszystkiem, Apelles dowcipkujący, był dla nas widowiskiem jeszcze nie widzianem, a po za tem radzi byliśmy, że choć w tak niewybredny sposób dociął Zyniowi za jego dziwactwa.

Ten ostatni, choć widocznie zbity z pantalyku, począł z zapalem ściskać i całować Apellesa, powtarzając z rozczuleniem.

— Piramidalnie, mój aniołku! piramidalnie! Jak widzę, masz prawdziwe zacięcie na humorystę, a wierzę mi, że jest to jedyne godne zajęcia stanowisko w społeczeństwie.

Dalszy wylew radości przerwało wejście stróżki, ostrożnie niosącej herbatę i przekąski.

Zabraliśmy się więc do jedzenia, poczem jeszcze gawędziliśmy dość długo.

Wreszcie Zynio pierwszy począł się żegnać.

— A wy, panowie literaty, pewno jeszcze do pracy? Bardzo to będzie pięknie i pożytecznie. Tylko uprzedzam was, że jeśli zbyt długo dumać będziecie, to nosy wasze trafią do kałamarzy i legną tam snem bohaterów. Ale—dodał, zwracając się do Stacha—mogę ci jeszcze na pamiątkę poddać parę niezwykłych rymów. A więc słuchaj: papier—lord Napier, pióro—obsкуро, atrament—zamęta...

— I głupia głowa—szczęścia połowa — dorzucił zcicha Apelles, stanowczo biorący dziś na kiel.

Lecz Zynio widocznie nie dosłyszał tego rymu, gdyż ciągnął dalej:

— W razie jednak, gdyby rymy te nie podobały ci się tak bardzo, zastrzegam sobie możność ich zwrotu. A my, Apellesku, potrądamy się pomaleńku do naszych ciupek i wnetki ułożymy się spać: my i pehły nasze.

— Mówisz, jak sam Zagłoba—z drwiącem uznaniem zapewnił go Apelles.

— Lecz też na tem kończy się całe nasze podobieństwo. Gdy bowiem Zagłoba należał do pokolenia ludzi, które umiało żyć, ja umiem tylko być—kpem...

Zynio mówił to tym samym wesołym tonem i jednocześnie mrużył filuternie oczy, dając tem do zrozumienia, że i teraz pod pozornie poważnem zwierzeniem kryje się jakiś koncept.

Lecz przytem poczęli już schodzić ze schodów, więc nie mogłem się dowiedzieć, co właściwie chciał przez to powiedzieć. Może naprawdę był to tylko żart, a może... Może on jednak zdaje sobie sprawę z głupoty przyjętego przez się sposobu zachowania się, może on to rozumie, że podjął pracę, niegodną siebie, pracę szczura, podgryzającego wszystko, co pod ząb podpadnie, bez względu na wartość przedmiotu, nie robiąc wyjątku nawet dla najcenniejszych, bo jedynie prawdziwych umysłowych dorobków ludzkości...

Długo rozmyślałem nad tem przed zaśnięciem. Czemu przypisać należy to dziwne przybieranie pozorów lekkomyślnych pustaków przez takiego Zynia i jemu podobnych, którzy, zapatrując się poważnie w gruncie rzeczy na zadanie życiowe, przy dobrych chęciach, mogliby dodatnio oddziaływać na swe otoczenie? Modny zwyczaj wszystkiego jeszcze nie wyjaśnia. A więc może strój kłowna ma służyć za tarczę dla serc delikatnych a czułych przeciwko zjadliwym pociskom, wymierzonym z przeciwnego obozu? Może i to być. Lecz ileż to serc zacnych i umysłów podniosłych ściera się i paczy w tym ciągłym fałszu, zadawanym własnej naturze!.. Ileż to dzielnych duchów, nie mogąc lub nawet nie śmiąc myśli i czynu zestroić w zgodny akord, wykoszlawia się w zarodku!..

.....

Nazajutrz Stach od rana ruszył na poszukiwanie szczęścia, jak sam nazywał zwykłą swą włóczęgę po mieście. I ja też niebawem udałem się do swej redakcyi, mając nadzieję pozbyć się tam, przy obowiązkowej pracy, przygnębienia, które, niewiadomo z kąd poczęte, gniotło mnie dzisiaj swą żelazną dłonią.

Powracałem do domu dopiero o zmroku. Powietrze było posępne, chłodne. Chwilami zrywał się podmuch jesiennego wiatru, przenikając przecho-dniów do szpiku kości. Niskie niebo okryte było ciężkimi, płynącemi zbitą masą, chmurami.

W bramie domu zatrzymałem się zdziwiony. W mętnej świetle gazu dojrzałem rozmawiające z ożywieniem dwie osoby. Jedną z nich był Stach, którego poznałem od pierwszego rzutu oka. Lecz drugiej zupełnie nie znałem: jakaś młoda dziewczyna, o przyjemnych, inteligentnych rysach twarzy, ubrana skromnie, lecz starannie, z teczką w rękę.

Przygnębienie moje znikło, jak ręką odjął. Zachciało mi się tak śmiać, tak śmiać... Ależ to paradne, znakomite! Ten Stach, ten zrozpaczony, grobowymi rozmyślaniami zaprzątnięty Stach flirtuje sobie w najlepsze z młodą dziewczyną!.. Widocznie nie jest jeszcze tak źle, jak mi się zdawało.

Szalonym wysiłkiem woli poskromiłem chęć śmiechu, rozpierającą mi płuca, i dyskretnie usunąłem się w półcień, pragnąc następnie wycofać się na ulicę. Lecz dziewczyna zauważyła mnie widocznie, gdyż, skinąwszy uprzejmie głową Stachowi, oddaliła się szybko w stronę podwórza.

Wówczas, nie widząc potrzeby ukrywania się dłużej, podszedłem do Stacha i wesoło począłem się go pytać:

— A to co znowu za dzierlatka? Nie wiedziałem, że masz takie znajomości. Możebyś i mnie z nią zapoznał, bo wcale nie brzydka. Proszę cię, nie skąp mi wyjaśnień, abym wiedział, czy mam ci winszować, czy też płakać nad twą dolą?

Widocznie jednak osoba moja przypomniła mu jego strapienia, zapomniane na chwilę, gdyż twarz mu odrazu posępniała.

— Sam wiem o niej niewiele więcej od ciebie— rzekł wreszcie, przecierając oczy, jakby chciał sobie lepiej zdać sprawę z rzeczywistości.— Mieszka z matką w tym samym, co i my, domu. Sprowadziły się niedawno. Spotykamy się prawie codzień ze sobą, więc znajomość zawiązała się łatwo. Wiem tylko tyle, że daje lekcye muzyki, czy też innych szopek.

— At! Głupstwa mi w głowie! — dodał po chwili, lekceważąco machnąwszy ręką.— A tu śmierć za progiem.

— Co ty gadasz? — zawołałem zdziwiony. — Zkąd tobie takie czarne myśli do głowy przychodzą? Przecież prawie wszyscy w swem życiu nie raz, lecz setki razy bywają w kłopotach pieniężnych, a jakoś żyją. Dlaczegożby ciebie inny los miał czekać?

— A jednak ja to czuję—odparł smutnie. — Jakis maleńki robaczek zasiadł mi w mózgu i chroboce tam bezustanku, przypominając mi wciąż, że położenie jest bez wyjścia. Nieprzyjemne okoliczności spięknęły się przeciwko mnie, wiadomo, że głową muru nie przebić, a cóż dopiero takiej żelaznej obręczy.

Tyle w tych słowach było jakiegoś cichego, lecz głębokiego smutku, że mi się bardzo niedobrze koło serca zrobiło. Co, u licha! Znałem go zawsze takim rześkim, wesołym, rwącym się do życia, aż tu nagle dla błahej przyczyny stał się puszczykiem żalobnym, omal że nie płaksą.

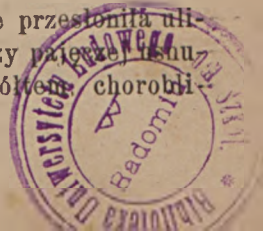
— Stachu!—rzekłem serdecznie, biorąc go po przyjacielsku pod ramię.— Niepotrzebnie przejmujesz się i martwisz taką drobnostką: niewarto nawet sobie

nią głowy zaprzętać. Wszystko się jeszcze ułoży. Dochody jakieś wynajdziemy, jeśli na dobre postaramy się o to. No, a tymczasem przecież kąć pod dachem i kawałek chleba masz zapewniony, bo nie przypuszczam, ażebyś chciał zrobić mi ten afront, odmawiając przyjęcia tak drobnej przysługi. Jeślibyś zaś pomimo to nie mógł pozbyć się swoich skrupułów, to ja zobowiązę się, choćby piśmiennie, odmieszkać i odejść u ciebie po upływie roku wszystko to, z czego ty korzystał będziesz przez parę, lub kilka dni, niezbędnych dla zorientowania się w położeniu.

— Daj pokój! — przerwał głosem spokojnym, lecz stanowczym.— Dowodzenie to mogłoby być dobre dla wielu, nawet dla bardzo wielu, ale nie dla mnie. Ja zostałem wychowany i wzrosłem w takich pojęciach, że pieniądź, pożyczony bez pewnej gwarancji zwrotu, paliłby mi ręce, a chleb łaskawy z pewnością nie przeszedłby mi przez gardło. Nie mówmy więc lepiej o tem, gdyż ja nie byłbym w stanie zadawać w ten sposób gwałtu własnej naturze.

Po czasie tej rozmowy bezwiednie skierowaliśmy swe kroki na ulicę. Szliśmy teraz bez celu, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie.

Tymczasem wiatr wzrastał się nieustannie, zacinając czasem kroplami deszczu. Jesienna szaruga poczyniała już dusić świat cały w swem zimnem, wilgotnem, oślizgłem objęciu. Wreszcie przesłoniła ulicę drobna, gęsta mgła, jakby z przędzy pękniętej sznura, z poza której błyszczały tylko żółte chorobli-



wem światłem rzędy latarni gazowych, idących w nieskończoność długim szeregiem.

Stach opamiętał się pierwszy.

— Gdzieżeśmy to zaszli?—zauważył zdziwiony.

—Toć to chyba Aleje Jerozolimskie.

— Racya! — dodałem ze swej strony, oglądając się dokoła.—Wracajmy do domu, bo inaczej zmokniemy do nitki.

Lecz Stachowi nie uśmiechała się widocznie perspektywa spędzenia w domu całego wieczoru, gdyż odrazu wpadł na myśl.

— Wiesz co?—zapropomował—zajdźmy do Apellesa. On tu niedaleko mieszka. Dawno już u niego nie byliśmy, a właśnie wczoraj mówił mi, że świeżo wykończył studium do swego obrazu, z którego jest w zupełności zadowolony. Musi to być coś ciekawego. Bardzobym rad je zobaczyć.

— Chodźmy!

Apelles odnajmował wraz z matką trzy pokoje, z których najwidniejszy, z oknami na północ, zajmowała jego pracownia. Tam to, podczas nigdy nieskończonych rozpraw i sporów, ścierały się ze sobą i wyrabiały ostatecznie nasze poglądy na sztukę, tam dowiadywaliśmy się o nowych prądach, wiejących do nas z zachodu, i rozpatrywaliśmy je krytycznie, tam wreszcie spędziliśmy wiele rozkosznych chwil w kontemplacyi przed utworami, mającemi na celu jedynie osiągnięcie czystego piękna i nieraz zbliżającemi się do zakreślonego ideału.

Wróciwszy z akademii monachijskiej, gdzie znakomicie przyswoił sobie technikę malarską pod okiem doświadczonych profesorów, począł on zrazu fabrykować oklepiane, lecz łatwo znajdujące zbyt i popłatne, tak zwane przyjemne obrazki. Zapewniało mu to przyzwoite utrzymanie i życie filistra. Widocznie jednak kipiały w nim ciągle, chociaż bezwiednie, porwy ku szerszym i podnioślejszym horyzontom, gdyż pomimo tak nieprzyjaznych warunków zdołał przechować w sobie niczem nieskalaną cześć dla piękna, cześć, która potrzebowała tylko silnej podniety zewnątrz, aby przetworzyć go całkowicie. Tak się też stało. Gdy jedna z fal, rozchodzących się po świecie z Paryża od wybijającego się na wierzch nowatorskiego ruchu w malarstwie, zawadziła o Warszawę—w naszym kółku zawrzało, jak w ulu. Zrazu, co prawda, zdania były podzielone; przeważało zdziwienie, a nawet zdumienie. Czy możebnem jest, aby malariski sposób patrzenia na naturę, uświęcony wiekami, tradycją i mnóstwem wielkich talentów, okazał się już teraz niedostatecznym? Czy takie oczywiste zuchwalstwo warto nawet brać pod rozbiór? Rozpatrzywszy jednak dokładniej to zuchwalstwo, doszliśmy do przekonania, iż Monet tyle zrobił dla malarstwa, ile Kolumb dla geografii, to jest odkrył nowy świat.

„*Plein-air*“ było teraz na wszystkich ustach.

Apelles aż się za głowę schwycił, ujrawszy pewnego razu ostatnio przez siebie malowany obrazek. Wyrzucił go natychmiast z mieszkania, nie chcąc, jak

mówił, płuć oczu swoich i cudzych widokiem podobnego bohomażu. O tąd stanowczo zaprzestał dalszej fabrykacyi wesel krakowskich, napadów wilczych i tym podobnych wyjazdów na polowanie, a natomiast począł studyować naturę we właściwym jej oświetleniu, pragnąc pozbyć się wreszcie dotychczasowego swego pracownianego kolorytu i takiej też perspektywy powietrznej, które teraz, oglądane na obrazach, wydawały mu się wprost ohydne. Z początku szło mu to opornie: rutyna trzymała go w kleszczach. Jednakże po kilku miesiącach codziennych prawie studyów, drogą usilnej pracy, a w części intuicyi, doszedł wreszcie do praktycznego zrozumienia tajników *plein airu*.

Wówczas powziął zamiar namalowania obrazu, którego celem byłoby przedstawienie kawałka natury w prawdziwym, a nie tradycyjalnym, oświetleniu, według zasad nowej szkoły. W tym celu wynalazł odpowiedni widoczek koło Wilanowa: Kilka wierzb, schylonych nad wodą. Po za tą łąką rzeczną ogromna, równa łąka; horyzont zamyka ciemna linia lasu, błękitniejąca w oddaleniu. Upalne letnie słońce zachodzi za plecami widza, powietrze nasycane purpurą i złotem, a na splekaną, omszoną korę wierzb padają przezroczyście-krwawe tony. Nad pyszną doliną łąki wiszą całe masy powietrza, tak prawdziwego, że widz, zdumiony, mimowoli podchodzi bliżej, aby zczepnąć go w płuca.

W trakcie tej pracy, wymagającej wiele mozół i nadzwyczaj zmuśnej, z powodu niedostatecznego

zapanowania nad przyswajaną sobie dopiero techniką, wciąż chciwie chwytał odgłosy z szaloną szybkością odbywającej się nad Sekwaną ewolucyi poglądów malarskich. *Plein-air*'yzm w oka mgnieniu przerodził się tam w krańcowość—w impresjonizm. Zmieniając przeto pierwotny układ swego dzieła, począł i Apelles tworzyć teraz łąkę żółto-czerwoną, a na wierzbach kłaść od zachodzącego słońca krzycząco-purpurowe blaski. Przy odrobinie dobrej woli, można było znaleźć w tem złudzenie rzeczywistości — naturalnie w pewnem oddaleniu.

Lecz malowanie przeciągnęło się na drugi rok, gdyż tylko latem mógł się nim zajmować, pracując na otwartem powietrzu. To też zanim obraz został wykończony, opadła gorączka nowych pojęć, i Apelles, rozpatrując swe dzieło ze spokojnym już i zrównoważonym umysłem, zapragnął nieco zmodyfikować chaos barw, w takim stopniu w naturze niespotykany.

Zwolna budziło się w nim teraz przekonanie, że prawdziwych artystów żadne teorye obowiązywać nie mogą i nie powinny. Teorya bowiem jest to szablon. Śmiesznością więc jest narzucanie jej sztuce, która cały swój byt opiera i wszystkie siły żywotne czerpie właśnie z różnolitości duchowego ustroju jednostek. Jeden tylko pewnik powinni artyści ciągle mieć w pamięci, że szablon, czyli teorya, podcina skrzydła prawdziwej sztuce. Niech więc każdy z nich samotnie dąży do ucieleśnienia własnych ideałów, i niech maluje, patrząc na naturę własnymi oczyma, a czy to bę-

dzie malarz historyczny, czy pejzażysta, czy monachijszyk, czy też *plein-air*'ysta lub impresjonista — rzeczywisty talent, nie krępowany uciskającymi go formułkami, zawsze i w każdym rodzaju, byle odpowiednim przyrodzonym zdolnościom, jest w stanie wydać z siebie dzieła trwałe wartości.

Wówczas znowu ołożył na czas pewien ostateczne wykończenie obrazu, a natomiast raz jeszcze powrócił do studyów. Pragał teraz wyjaśnić sobie i dokładnie uświadomić swój własny malarski sposób patrzenia na rzeczy. Aby jednak nie tracić z uwagi utworu, który go już tyle czasu i trudów kosztował, przedsięwziął wyłącznie malować olejne szkice poszczególnych części opracowywanego krajobrazu. W ten sposób wystudował łąkę, następnie wodę, a wreszcie ostatnio jedną z wierzb, którą właśnie teraz mieliśmy zobaczyć.

Gdy zmoknięci i zziębnięci dostaliśmy się do mieszkania Apellesa, przyjął on nas ze zwykłą uprzejmością; zauważyłem jednak na jego obliczu coś w rodzaju zdziwienia. W rzeczy samej, mógł nie spodziewać się gości teraz, w takiej porze, kiedy pies nawet podwija ogon i, ospały, kuli się w najcichszym zakątku.

W pracowni, na najwidoczniejszym miejscu, wisiał na sztalugach duży obraz, któremu zaledwie kilka pociągnięć pędzla brakowało do zupełnego wykończenia. Były to owe sławne „wierzby nad wodą“. Obraz ten, ciągnąc ku sobie, pociągał jakimś nieuchwytnym czarem, pomimo nadzwyczajnej prostoty treści

i pewnych impresjonistycznych jaskrawości, gdyż czuć było, że twórca włożył w niego cząstkę własnej duszy, że ten twórca nie schlebiał w nim czyjś upodobaniom, lecz za jedyny cel postawił sobie: odtworzyć z możliwą dokładnością kawałek natury, widzianej przez pryzmat własnego indywidualizmu.

Po krótkiej, okolicznościowej pogawędce wyłożyliśmy wreszcie główny cel naszego przybycia. Apelles, zdziwiony, począł zaklinać się na wszystkie świętości, że nie dziś z tego nie będzie, że on się na to zgodzić nie może, gdyż, jak mówił, jedynie ślepi mogą wieczorem oglądać obrazy bez skrzywdzenia ich twórców obniżeniem swego wysokiego o nich mniemania. Gdy jednak porządnie przyparliśmy go do muru, obiecując powtórzyć wkrótce odwiedzinę, ale już w dzień — uległ, nie bez pewnego zadowolenia miłości własnej.

Urządziliśmy brylantowe oświetlenie, zapalając wszystkie lampy i świece, jakie tylko dały się odnaleźć. Apelles przyniósł spore płótno i w skupieniu ducha umieścił je na sztalugach, zasłaniając jednocześnie widok własną osobą. Wreszcie usunął się.

Na zaledwie podmalowanem płótnie widać było narzuconą kilku śmiałymi rzutami pędzla starą, schyloną, nadpróchniałą już wierzbę. Widocznie jednak siły żywotne grały w niej jeszcze potężnym strumieniem, gdyż z boku, w miejscu nachylenia się wierzchołka, wyrastał cały las młodych pędów, o świeżej, soczystej, bujnej zieloności. Na jej spękaną, omszoną korę, na koronę o jrybłakłych, matowych barwach,

na młodzież, bujnie krzewiącą się od dołu, padały całe snopy krwawej czerwieni od chylącego się już ku zachodowi jaskrawego słońca. Promienie jego purpurą powlekaly żółto-zielony mech, okrywający jej zbocza, krwawe smugi kładły na obnażony miejscami gładki rdzeń drzewa, i gdzieindziej rdzawiły pyszną zieloność młodych gałązek. Wierzba żyła, z upojeniem wchłaniając błogi spokój letniego zachodu.

Patrzałem, nie mogąc oczu oderwać od tego widoku. Zbudził on we mnie, zasnutą już mgłą oddalenia, wrażenie bajecznego uroku, jaki posiada natura dla tych, co ją odczuć umieją. Oczyma duszy widziałem krwawą, rozpaloną, jakby nabrzmiałą tarczę słoneczną, dążącą na spoczynek poza czarną smugę lasu; widziałem barwistą łąkę, przetykaną jaskrami i złotymi kaczeńcami; i kupy niezapominajek nad rowem. Słyszałem niustanny szelest liczego państwa owadów w trawie i w zbożu, ćwierkanie konika polnego, nawoływanie przepiórek; i ostry, monotonny krzyk derkacza, i rechot żab, nastrojących swe gęśle do wieczornego chorału, i pisk kulika rzecznoego...

Dobrze mi było. Ah, jak dobrze!

Stach wreszcie począł mówić głosem miękkim, łagodnym, przejętym powagą nastroju.

— Są tacy, co twierdzą, niewłaściwie powtarzając słowa Mickiewicza, że utwory czcicieli czystego piękna są jak misterne i ozdobne świątynie, w których niema Boga. Nieprawda! Bóg jest: nie Ten obrzędowy, lecz Bóg, który jest życiem, światłem

i duszą wszystkiego. Talent w swych przejawach zawsze daje świadectwo, iż zawiera w sobie pierwiastki boskie: samoistność i nieśmiertelność. Po cóż więc zakuwać go w twardą obrozę jakichś, fałszywych najczęściej, teoryjek, gdy wiadomem jest, że ani jedno z arcydzieł, któremi się ludzkość chlubi, nie zostało stworzone według pewnej recepty, lecz powstawały wszystkie za sprawą nieuchwytniej, niezbadanej do tychczas siły, zwanej talentem? Krytykować można wszystko, a więc i rodzaj talentu; przepisy jednak dawać można tylko na to, co przez nas zostało stworzone i od nas wyłącznie zależy, to jest na technikę, czyli sposób zakuwania w stałe formy owych rzadkich objawów nieśmiertelnego ducha

Zapanowało chwilowe milczenie. Jedyne świeca głośno skwierczała, dogasając w lichtarzu.

— Niema co mówić, szkic ci się udał — mówił dalej Stach. — Tylko, widzisz, szkic w malarstwie jest jak jeden wyraz w rozmowie. Może ten wyraz być bardzo rozumny, albo też dosadny, nigdy jednak nie wypowie tak dokładnie tego, coś miał na myśli, jak całe zdanie, z kilku wyrazów złożone... A kiedyż ty swoje zdanie wypowiesz?

— Latem niezawodnie już wykończę — zapewnił Apelles.

Ja tymczasem oglądałem się za jednym z dawniejszych jego studyów, przed którym za każdym razem stawałem z nową przyjemnością. Było to studyum wody. Widać na niem było tył łódki, która, mknąc chyżo po gładkiej, szklistej, o stalowym odcie-

niu powierzchni, pozostawiała za sobą długą, sperloną brudzę. Dokoła rozchodziły się lekkie, ruchome fale. Dalszy plan tworzył wysoki brzeg, gęsto zarośnięty sitowiem. Nadzwyczajnością wydawała mi się tu woda, do odtworzenia której sam twórca głównie, jeśli nie wyłącznie, skierował był swą pracę, zaledwie szkicując inne pozycje. Jasna i jak kryształ przezroczysta bliżej widza, przybierała dalej odcień zielonkawo-niebieski, aż wreszcie u przeciwniejszego brzegu przechodziła w ton ciemno-granatowy, prawie czarny, o zimnym, posępnym połysku.

Nieraz usiłowałem zdać sobie sprawę, czem właściwie szkic ten tak przykuwa moją uwagę? I czemu ten właśnie, a nie inny? Nie zdołałem jednak w tych rozmyśleniach dojść do jakichkolwiek zadawających rezultatów. Zmysł piękna albowiem rozwinięty jest w ludziach nader nierównomiernie: co jeden okrzyknie za arcydzieło, na to drugi spojrzeć nawet nie raczy. Ułożyłem sobie, co prawda, formułę, że: ten utwór pióra, pędzla lub dłuta jest dziełem talentu, który przykuwa do siebie uwagę czytelników lub widzów, i daje im zupełne zadowolenie estetyczne — lecz sam rozumiałem to doskonale, że możnaby jeszcze długo nad nią dyskutować.

Tymczasem odnalazłem tak długo szukany utwór. Podeszedłem więc ku niemu bliżej, aby odświeżyć wrażenia, lecz—niestety!—w wieczornem oświetleniu nie posiadał nawet części właściwego mu uroku. To też przypatrywałem się tylko szkicowym zarysom, odtwarzając w umyśle zamglone już pojęcie o całości.

Nagle z drugiego kąta pokoju doszedł mię suchy, bezdźwięczny głos Stacha, pytającego:

— A to co?

Zdziwiony, zbliżyłem się, aby się dowiedzieć, o co rzecz idzie.

Stach, nie mówiąc, wskazał dwa płótna, wiszące w cieniu, we framudze okna. Przynieśliśmy światło, aby się w nich lepiej rozpatrzyć.

Były to ordynarne obrazki, o banalnej treści: jeden z nich przedstawiał krajobraz późnej jesieni, z nieodłącznym sztafażem, w postaci „wypadku w drodze“; drugi wyobrażał ten sam „wypadek“, ze zmienionymi szczegółami, na tle widoku letniego. Koloryt, jakiś niewyraźny, tworzył tak zwaną „miłą dla oka“ mieszaninę barw: za to wszystkie drobne szczegóły i szczególiki, jak np. uprzęż na koniach, lub guziki u liberyi stangreta, odtworzone były z możliwą dokładnością. Widać było odrazu, że obrazki te zostały namalowane specjalnie dla zadowolenia upodobań przeciętnej, estetycznie niewyrobionej, burżuazji.

Długo ze zdziwieniem przypatrywaaliśmy się tym arcydziełom — niesmaku. Zrazu przemknęła mi przez głowę myśl, że to może są oleodruki. Lecz nie! coby oleodruki robiły w pracowni artysty—malarza? Wówczas zacząłem sobie przypominać, że przed kilku laty wróciwszy z Monachium, Apelles takie właśnie malował obrazki.

— A wy tu co robicie?—rozległ się za nami wesóły głos gospodarza.

Obejrzelismy się. Musiał wzrok nasz być bardzo wymowny, gdyż odrazu domyślił się zrobionego przez nas odkrycia. Tracąc zwykły kontenans, stał spłoszony, jak żak przed profesorem i z tragicznym ruchem rąk tłómaczył się pokornie:

— Cóż chcecie? Trzeba żyć.

Zdziwieni, nie przerywalismy milczenia.

— Matkę mam — dodał po chwili pewniejszym już tonem, trafiając na właściwą myśl.

Prawda! Matkę ma. To zupełnie zmienia postać rzeczy. Jakie to jednak dziwne, że przez tak długi czas ani razu nie wzięła nas ochota spytać się, z czegooby żył: on i jego matka. Przecież wiedzieliśmy dobrze, że kapitalistą nie był, więc łatwo się było domyślić, że, jeśliby nie miał postronnych źródeł dochodów, niezawodnie oddawna już gryzłby świętą ziemię.

— Wy, coście tego nie doświadczali, — ciągnął dalej Apelles—nie możecie mieć pojęcia, jak to boli—sprzeniewierzać się własnym ideałom. A jednak zmusza nas zwykle do tego okrutna igraszka, zwana życiem...

Po chwili innym już tonem dodał:

— Zresztą istnieją różne poglądy na tę kwestyę. Zdaje mi się, że wobec powszechnego demokratyzowania się społeczeństw, sztuka, ten szczyt arystokracji, musi opłacać czemśkolwiek swe prawo istnienia, gdyż, bądź co bądź, demokracja to wielkie hasło...

— Powiedz raczej: głupie hasło — przerwałem, zniecierpliwiony.

— Jakto? — Apelles zrobił duże oczy.

Mnie tymczasem brała szewska pasya. Przykróść, jakiej doznałem, dowiadując się o prowadzonym przez naszego przyjaciela handelku sztuką, pod wpływem słyszanych zdań przeradzała się w oburzenie. Zrobił źle? To racya. Lecz zmuszony był do tego nieprzyjaznemi okolicznościami? I to racya. Po cóż więc wykręca się fałszywemi doktrynami, jak liszka ogonem, usiłując zamydlić nam oczy?

— Wierzaj mi — rzekłem, zbliżając się ku niemu i biorąc go za guzik od surduta.—Wierzaj mi, że jest to głupie hasło. Miało ono racyę bytu przed dwustu, stu, wreszcie pięćdziesięciu laty. Lecz teraz? Teraz, kiedy główne żądania tego, niezbędnego w swoim czasie, demokratycznego ruchu zostały już urzeczywistnione, jakie widoki otwiera on przed nami?...

— Nie wiem, jakie to żądania demokracji masz na myśli, mówiąc o ich urzeczywistnieniu? — zapytał przeciągle Apelles.

— A wydobyć ludu z pod przemocy możnych i zrównanie wszystkich w obliczu prawa?

— To było tylko burzenie starego, zatęchłego gmachu, pełnego przesądów i wzajemnych swarów. Rozklecona budowa nie zadawała już nikogo, więc poczynamy stawiać nowy gmach.

— Jaki?

— Taki, w którymby dla każdego miejsce się znalazło, i to miejsce—nie gorsze, niż dla innych.

— A więc myślicie wprowadzić powszechną, absolutną równość?... Żadny projekt, nie przeczę, ale tylko zzewnątrz, gdyż w gruncie rzeczy jest on odstręczająco szpetny.

— O?! zawołał Apelles, usiłując nadać temu wykrzyknikowi ton nieopisanej ironii.

— Między ludźmi—mówilem dalej—istnieją tak niezgłębione różnice w pojęciach i potrzebach, że jakas jedna, wszystkich obowiązująca miarka mogłaby zadowolić, co najwyżej, pewną, drobną tylko, częstkę ludzkości. Gdyby np. zwyciężyły i ostatecznie zapanowały nad światem socjalistyczne idee, w państwie, naówczas utworzonym, nie znalazłoby się miejsca dla inteligentniejszych, indywidualnie rozwiniętych jednostek... Byłaby to zupełna zagłada ludzkości.

— Jak widzę, stałeś się zwolennikiem ponownego rozklasyfikowania ludzkości na cztery stany, z których najmniejszy posiadałby najwięcej prerogatyw, a najliczniejszy — żadnych.

— Ależ nie! Chyba nie chcesz mię zrozumieć... Jestem właśnie stanowczym przeciwnikiem wszelkich sztucznych przegródek. Pragnę tylko, aby każdemu wolno było osiągać szczęście według własnej jego miary. A tymczasem dzisiejsi demokraci myślą wznowić dawną niesprawiedliwość, z tą jedynie zmianą, iż

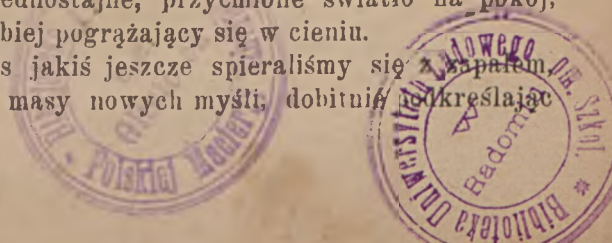
z bitych sami chcą zostać bijącymi. To właśnie mię oburza.

Naturalnie, Apelles nie dał się przekonać, gdyż zresztą żadne spory nigdy tego celu nie osiągały. Natychmiast też wypalił krótką, ale dosadną replikę, która wywołała nowe argumenty z mej strony.

Jakkolwiek omawiana kwestya interesowała mię bardzo, nie zaciętrzewilem się jednak w dowodzeniach do tego stopnia, żeby aż tracić z uwagi otaczającą mię rzeczywistość. Chwilami, słuchając oklepanych teoryjek mego interlokutora, zwracałem uwagę na Stacha, siedzącego wciąż w jednej pozycji przed owymi nieszczęsnymi, omal że nie oleodrukami, z wyrazem jakiejś niezgłębionej zadumy w oczach. Może zastanawiał się nad obniżaniem artystycznych ideałów, czego smutne rezultaty miał przed sobą na widoku? A może, słuchając naszych coraz to gorętszych dowodzeń, snuł jednocześnie pasmo swoich własnych myśli?

Tymczasem urządzona w pokoju iluminacya począła z wolna słabnąć w swem natężeniu. Świece, a raczej kawałki świec, poobsadzone w starych lichtarzach i butelkach, gasły jedna po drugiej z syczącym szelestem, napełniając dokoła powietrze nieprzyjemną pozostałością śwedu. Tylko dwie lampy wciąż rzucały jednostajne, przyćmione światło na pokój, coraz głębiej pogrążający się w cieniu.

Czas jakiś jeszcze spierałismsy się z zapalem rzucając masy nowych myśli, dobitnie określając



ważniejsze. Ponieważ jednak coraz widoczniejszą dla nas samych stawała się ich jałowość, przeto, poddając się ogarniającemu nas znużeniu, coraz ciszej i coraz niechętniej snuliśmy dalsze dowodzenia, błakające się teraz, jak niedobitki po całodziennej walce.

Rozmowa nieznacznie przeszła na tematy obojętne. Wreszcie, czując, iż nie mamy tu już nic więcej do robienia, wraz ze Stachem pożegnaliśmy gospodarza, obiecując zajrzeć tu niedługo, aby przy świetle dziennem obejrzyć interesujące nas szkice.

.

Na ulicach ruch wrzał duży, gdyż nie było jeszcze późno. Deszcz ustał i niebo się wypogadzało: z czarnego jego stropu przezieraly miejscami drżące złote gwiazdy. Chodniki, mokre od deszczu, błyszczały w świetle gazu, jak wypolerowana zbroja. Dorożki hałaśliwie turkotały po bruku. Czasem powóz przemknął chyżo, cicho, prawie niepostrzeżenie, jedynie tententem anglezów dając znać o sobie.

Nie chciało nam się wracać do domu: zanadto przejęliśmy się zrobionem u Apellesa odkryciem. Siedzieć teraz w pustym pokoju znaczyłoby — oddać się na pastwę przygnębiającym dociekaniom, tem przykrzejszym, im trudniejszym okazywało się wysnucie z nich jakiegokolwiek logicznego wniosku.

Z niemalą trudnością wyrabiamy w sobie ideały, to też niełatwo rozstajemy się z nimi. Raz skupi-

wszy poglądy w syntetyczną całość, trzymamy się ich zazwyczaj oburącz, choćby nawet o ich bezzasadności przekonywały nas fakta. Na te ostatnie zamykamy zwykle oczy, lub też z powziętym naprzód celem tłómaczymy je sobie fałszywie, aby tylko nie mącić spokoju ducha, będącego częstokroć jedynem naszym pożądanem. Są jednak i takie umysłowe organizacje, które nie mogą spać spokojnie wówczas, gdy na widnokręgu zamajaczy choćby słabe światelko...

— Światło rozjaśni wątpliwości nasze i naszych współbliznich! — wołają. — Światło zapewni nareszcie spokój duszom, znużonym nadaremne błakaniem się po manowcach zagadek wszechbytu, — nie ten sztuczny spokój apatii i martwoty, będący teraz ich udziałem, lecz błogi spokój świadomego sił swoich życia!

Wołają tak, i porywają się natychmiast do lotu, i lecą, pchane wewnętrzną potrzebą poznania prawdy... I giną...

Tak bywa z każdą prawie myślącą jednostką, tak też mogło być i z nami. Dopóki poglądy nasze były w stanie czynnym, w okresie walki, dopóty nie zwracaliśmy uwagi na przeczące im strony życia, lub też wyjaśnialiśmy je sobie tak, jak sami chcieliśmy je widzieć. Lecz kiedy nadszedł wiek męskiej dojrzałości, równocześnie z zanikaniem młodzieńczego zapału, poczęliśmy bezstronnie rozpatrywać objawy życiowe; wówczas też spostrzegliśmy, jak wielkim błędem jest apriorystyczne układanie teorii o życiu,

bez dokładnej jego znajomości. Niema bowiem nic boleśniejszego nad utratę ideałów: wraz z nimi ginie największy nasz skarb umysłowy, nagromadzony w ciągu młodych lat, kiedy siły i ochota są do tworzenia.

.

Szliśmy tedy, gdzie nas oczy powiodą, mając jedyny zamiar: dostać się tam, gdzie największy panuje ruch, wesołość i ożywienie. W kalejdoskopie wciąż nowych wrażeń spodziewaliśmy się natrafić na jakiś czynnik, odświeżający naszą energię życiową, aby następnie ze spokojem i ufnością we własne siły móżdż stanąć wobec powstających w nas pytań.

.

Wróciliśmy do domu koło północy. Pokoik nasz, tętnący zwykle atmosferą przyjemnego zacisza, wydał mi się dziś jakiś niegościnnie, pośpyny. Milcząc, rozbieraliśmy się do snu. Wreszcie Stach, mało co dotychczas mówiący, zapytał takim tonem, jakby sobie coś przypominał:

— Co to on dziś tak gorąco prawił o demokracji, czy też demokratyzacyi? Ciekawa to bardzo dla mnie kwestya, alem nie słuchał waszej rozprawy, bo co innego miałem na myśli.

W krótkich słowach wyjaśniłem główną treść dowodzeń Apellesa: demokracja jest tak wielkiem

hasłem, że dla miłości jego powinna sztuka obniżyć nieco swe ideały, czyli stać się przystępną dla tłumu.

Stach zaśmiał się z goryczą.

— A to dobre. Zaczyna już, jak widzę, wyjaśniać i uzasadniać swe fałszywe kroki układanemi w tym celu teoryjami. Może go to zaprowadzić daleko na drodze do stałej sytości brzucha i kieszeni, lecz umysłu jego i serca z pewnością nie zadowoli... Chyba, że zgłupieje ostatecznie...

Głos jego brzmiał melancholijnie, czasem jednak czuć się dawała nutka rozdrażnienia.

— Raz postawiwszy nogę na chwiejnym gruncie podrabianych idei, z łatwością będzie mógł staczać się dalej po pochyłości. Występują już nawet niedobre oznaki. Oto, na przykład, nie rozróżnia widocznie dóbr duchowych od materyalnych. Gdy bowiem, te drugie, jako wzrastającą w nader nieznacznym stopniu i przytem zagrożoną zupełnem wyczerpaniem wszelkich źródeł nowych bogactw, mogą być dokładnie wymierzone i obliczone, przeto pojmuję, że mogła komu przyjść do głowy myśl dopuszczenia wszystkich do korzystania w równej mierze z tych dóbr, przez ludzkość posiadanych,—choć i się z nią bynajmniej nie solidaryzuję. Jak jednak można podzielić na małe dawki te pierwsze t. j. duchowe dobra, jestto dla mnie najzupełniej niezrozumiałe, ponieważ, jak to wiadomo powszechnie, jeden duży talent więcej znaczy od stu małych. Zdaje mi się też, że demokratyzacyę utworów ducha skutecznie można

jedynie, że tak powiem, zewnętrznie, to jest zapomo-
cą uprzystępniania ich szerokim warstwom w tanich
edycjach i otwartych muzeach, lecz nigdy przez
obniżanie ideału. Ten ostatni środek zabiłby pra-
wdziwą sztukę, a przecież piękno jest bodaj że pier-
woszorzędnym czynnikiem naszego umysłowego wy-
szlachetnienia.

To mówiąc, zgasił świecę i wsunął się pod koł-
drę. Widocznie jednak dojmująca gorycz ciągle
w nim nurtowała, podsuwając mu przeróżne myśli,
gdyż po chwili znów mówić zaczął:

— To, że Apelles opuścił nasz sztandar, dlatego
boli mię tak bardzo, iż widzę coraz większe rozpo-
wszechnianie się tych ogłupiających poglądów, i co
gorsza, bezcelne wprowadzanie ich w czyn. Nie
mówiąc już o malarstwie i innych sztukach pięknych,
oddawna cierpi na tem niegdyś dziecię bogów—poe-
zya. Ogromna większość adeptów tego kunsztu woli
obecnie zapisywać się do cechu wierszokletów, przy-
taczając na swe usprawiedliwienie oklepaną wymó-
wkę, iż publiczność głębiej odczutych i szerzej pomy-
ślanych poezji nie rozumie i czytać nawet nie chce.
To też niechętnie biorę do ręki tomik nowych poezji,
gdyż najczęściej widnieje z nich przerażająca banal-
ność. Wszystkie, napotykanne tam uczucia, myśli,
obrazy, powielekroć były już opiewane, i to z le-
pszym skutkiem, gdyż samoistnie i szczerze. Często
mi się wydaje, że podobnych utworów nie mogli pisać
ludzie, posiadający większą od innych wrażliwość na

piękno i talent słowa, lecz automaty, odcytane w poe-
zyach i obdarzone pewną zdolnością reprodukowania
otrzymywanych zzewnątrz wrażeń. Zapewne... za-
sadnicze uczucia ludzkie, jak: miłość, zapał do czynu,
smutek, tęsknota nie zmieniają się nigdy w swej tre-
ści, lecz przecież życie tak misternie rzeźbi nasze du-
chowe organizacje, iż każdy z nas może wyrobić
w sobie swój własny sposób patrzenia na rzeczy i od-
czuwania wrażeń. Ta właśnie ostatnia okoliczność
zapewnia poezji wieczną trwałość, a jednocześnie upo-
ważnia poetów do nowego obrabiania postokroć już
podejmowanych tematów, byleby tylko mogli i umieli
powiedzieć o nich coś własnego. Tymczasem cóż wi-
dzimy?... Przeważna większość współczesnych poe-
tów—chwała Bogu nie wszyscy!—czy to wskutek bra-
ku pocucia artystycznego, czy też z powodu lenistwa,
pisuje głównie, jeśli nie wyłącznie, króciutkie, z kilku
lub kilkunastu rymów składające się wierszyki, nie
pomnąc o tej prawdzie, iż na podobne figielki pozwa-
lać sobie może bezkarnie tylko wielki, skupiony w so-
bie, i znakomicie już wyrobiony talent twórczy. Za-
ledwie pan, tytułujący się poetą, zawiadomi w takim
wierszyku publiczność, że mu jest smutno, gdy nagle
urywa—i kładzie swój podpis. W najlepszym razie
może to rozśmieszyć, zwykle jednak czytelnik z nie-
smakiem odkłada na bok pismo, lub książkę, zarzeka-
jąc się dalszego zaznajamiania się z nowożytną poe-
zyą. I słusznie! Boć przecie, jeśli temat stary, jak
świat, to tylko własne, oryginalne jego uzasadnienie
może mu nadać nowy powab w oczach czytelników.

Tak np., gdy Słowacki przejmującym głosem woła:— Smutno mi, Boże—to wszyscy wierzymy w szczerość tej skargi, i serdecznie współczujemy poecie, ponieważ następnie z niepospolitą siłą słowa, na jaką tylko prawdziwe uczucie zdobyć się może, kreśli w szeregu przepysznych plastycznych obrazów powody tego smutku... Tymczasem większość współczesnych poetów, nie bacząc na przykłady, dane im przez mistrzów, wcale nie dba o umotywowanie opiewanych przez się uczuć. Każą nam cieszyć się, lub płakać—bez powodu. W tem tkwi, według mego zdania, główna przyczyna coraz wyraźniej zarysowującego się rozdźwięku między poezją a życiem...

— Albo te fragmenty—ciągnął dalej po chwilowej przerwie.—Zaczynają się od domyślników i kończą się niemi, a zawierają w sobie ułamki myśli, okruszki uczucia... Czyż może być coś bezsensowniejszego? Ilekroć natrafie na podobny urywek, zawsze poczyną mię dręczyć gorzka myśl: jak też daleko odbiegliśmy od prawdziwej sztuki! A gdzie rozwinięcie tematu w skończoną całość? Gdzie architektonika utworu? Gdzie jasność, ład i przejrzystość utworu? Toć romantycy, nasi mistrze, wojując z klasykami, nie burzyli bynajmniej zasad sztuki, lecz tylko protestowali przeciwko martwocie ducha, uśpionego w pięknych nieraz formach. Ruch, wywołany walką, wpłynął na rozszerzenie i udoskonalenie teorii, której główne zasady pozostały, mimo to, niezmienione i obowiązują teraz wszystkich tak samo, jak przed półwiekiem lub całym stuleciem...

Długo jeszcze snuł swe dowodzenia, których chętnie słuchałem, jak zawsze z przyjemnością słucha się jasnych i szczerých poglądów—szczególniej w kwestjach sztuki, w których lada filister czuje się upoważnionym do wścibiania swoich trzech groszy, a i sami twórcy niejednokrotnie zniżają się do tego samego poziomu.

Zasnąłszy dopiero nad ranem.

.

Przez kilka dni następnych życie nasze z pozoru toczyło się zwykłym, dawno już wyżłobionym, torem, odczuwaliśmy jednak przytem pewne niewyraźne przygnębienie, jakby w oczekiwaniu niezawodnego, zbliżającego się już, lecz dla nas samych jeszcze niejasnego, nieszczęścia. Zdawało nam się, jakgdyby dokoła nas rozpostarło się niezgłębione bagno: gdziekolwiek się zwrócić, wszędzie czyha tcn bezzdena; wreszcie i pod nami grunt zwolna poczyną się uginać, gnąć się, chwieje, zniża...

Właściwie tyczyło się to głównie Stacha, jako bezpośrednio zainteresowanego, lecz i ja, tyle nadziei oparłszy na niezłomnej prawości i podniosłości jego ducha, drżałem na samą myśl ogniowej próby, oczekującej go wobec zbliżających się trudności. Przechodziłem te same mniej więcej uczucia, o mniejszej tylko, zapewne, skali natężenia.

Usiłowania nasze, przedsiębrane w celu wynalezienia jakiegokolwiek chlebobadajnego zajęcia, spędziły

zuowu na niczem. Daremnie próbowałem osobistemi wpływami oraz za pośrednictwem znajomych i kolegów wyrobić mu stanowisko przy jakiej redakcyi. Wszędzie dawano mi jednakową odpowiedź: kandydatów mamy więcej, niż potrzeba.

Wkrótce też Stach począł się fantować: najpierw poszły do lombardu rzeczy kosztowniejsze, dające tem samem możność dłuższego zaspakajania bieżących wydatków otrzymanemi za nie pieniędzmi. Niewiele ich, coprawda, było: staroświecki złoty zegarek po ojcu i jego własny srebrny, pozatem kilka drobiazgów ze szlachetnych kruszców—oto wszystko. Lecz żyć za nie można było jeszcze parę tygodni.

Kiedyś niespodzianie zetknąłem się z Zyniem. Szedł w wybornym humorze w towarzystwie paru niemniej rozweselonych fircyków, tamując wraz z nimi przejście na jednej, co najmniej, połowie chodnika. Gdy mnie ujrzał, natychmiast pożegnał się z wesołymi koleżkami, aby i ze mną trochę porozmawiać.

Wyznałem mu nasze strapienia. W odpowiedzi począł się śmiać serdecznie.

— Jacyście wy cudaczni ludzie! Wrota są otwarte, więc niepotrzebnie silicie się je wyłamać!

Żywo zapytałem go, co rozumie przez tę prześność.

— Najprostszą w świecie rzecz! Niech Stach poemata swe złoży pod klucz do jakiego muzeum, z poleceniem odczytania ich i spożytkowania dopiero po jego śmierci, a może być pewnym, że kiedy roba-

ctwo toczyć będzie jego ziemską skorupę, jednocześnie imię jego zagrzebie od Karpat aż do Bałtyku, i rodacy, w uznaniu geniuszu, stawiać mu będą pomniki. Tymczasem jednak niech nie droży się zbyt ze swą umiejętnością klejenia rymów, lecz niech smali siarczystą odę do dziurawego buta, lub też co podobnego. Im głupszy temat uda mu się wynaleźć, tem lepiej dla niego, gdyż tem łatwiej zrozumiany i oceniony zostanie przez gruboskórnych filistrów, tworzących tak zwaną czytającą publiczność. Uzyska rozgłos, nieco mamony, a więc wszystko, czego potrzeba dla osłodzenia głupiej farsy, odgrywanej przez każdego z nas na tym padole...

— Zresztą—przerwał nagle sam sobie—nie on pierwszy pójdzie tą drogą. Chyba ostatni.. Kole-dzy jego z akademii częstochowskiej dawno już to samo zrobili. To też rymotwórców bieżącej doby rozklasyfikować można na dwie tylko grupy: takich, co pieją hymny na cześć zwiędłego liścia lub zgubionej podwiązki zupełnie poważnie, w dobrej wierze, najmocniej przekonani o świętości swego powołania i niepospolitej ważności podejmowanej przez się pracy, i tych, co czynią to samo z podkładem ironii nad głupotą czytelników i—swoją własną. Zarówno jedni, jak i drudzy w utwory swoje wkładają mniej lub więcej świadomie nieocenione skarby humoru, i dlatego to tak zwana „poezja“ nie schodzi dotychczas ze szpalt kuryerów, a nawet tygodników...

Widząc, że nie jestem dziś w usposobieniu do

bawienia się jego dowcipami, pożegnał mnie jeszcze szybciej, niż się był przywitał i ruszył dopędzać towarzyszków, zagubionych w tłumie.

Słowa jego zrobiły na mnie wrażenie jaskrawej racy, wybuchającej niespodzianie tuż pod nogami: narazie oszołomiły i ogłuszyły. Szybko jednak zorientowałem się, że są to zwykłe jego koszulki opalki, z których jakichkolwiek pozytywnych wniosków lub wskazówek wyciągnąć niepodobna. Lecz nie! Zdawało mi się, że jakąś myśl dostrzegam, myśl mogącą się okazać pożyteczną dla Stacha... Otóż jest! Radził przecież Stachowi wziąć się do pisania wierszyków do kuryerów i innych pism, zajęcia, z takim powodzeniem osobistem uprawianego przez tylu wierszokletów!

Czepiałem się pierwszej lepszej poddawanej mi myśli, wierząc naślepo, iż okaże się zbawienną.

Lecz Stach był innego zdania w tej kwestyi. Zmył mi nawet porządnie głowę za zachęcanie go do złego czynu.

— Nie mogę — mówił — przyjąć waszych rad, gdyż nie zgadzają się one z moimi istotnymi poglądami na godność i znaczenie poezyi. Jestem zdania, że każdy profesjonalista czy to będzie rzemieślnik, czy poeta, powinien zawsze wkładać w swoją robotę tyle uczciwości i dobrej woli, o ile go tylko stać. Przytem świadome oszukiwanie współbliźnich nigdy na dobre nie wyjdzie właściwemu sprawcy złego czynu. Z raz zajętego stanowiska schodząc na niższy poziom, zostaje

my obryzgani błotem, które nigdy już potem zetrzeć się nie da. Tak np. jeśli dobry szewc poeznie przez czas jakiś popartacku wykończyć swoją robotę, to niezawodnie później pomimo najszczerzej chęci nie zdoła już ani jednej pary butów odrobić z taką, jak dawniej, precyzyą. Takie samo zjawisko obserwować możemy u wszelkich upadłych artystów...

-- A jednak trzeba zkąćciś ten grosz wydobyć — przerwałem zcicha.

— Tak, mój drogi, tak! Trzeba! Koniecznie trzeba! — uniósł się Stach. Tylko nie zapomocą takich środków, które ujemnie oddziałują na ogólne dobro społeczne, w najdrobniejszej choćby mierze. Jeśliś głodny, panie poeto, to weź się do mechanicznego przepisywania papierów, lub do tłuczenia kamieni na szosie, wreszcie tragarzem lub posłańcem zostań, gdyż takie, lub temu podobne zajęcie, jeśli dla ciebie przykrem będzie, to innym tylko pożytek przynieść może. Nie wąż się jednak pisywać niewybrednych, łatwo dających się spieniężać, wierszyków, gdyż w ten sposób przyczyniać się będziesz do wyrabiania bałamutnych poglądów w naszych, i tak nie-szczególnie rozwijanych umysłach..

— Przecież nie zechcesz chyba w czambuł potępić wszystkich tych rymotwórców. Są między nimi ludzie zupełnie uczciwi — wtrąciłem znowu.

— Masz rację. I ja wiem o tem, że owa zwarta falanga dostarczycieli rymów działa przeważnie w dobrej wierze. Tylko, zbyt niskie kręgi zata-

czając ubogim umysłem, żaden z nich nie jest w możności dokładnie ocenić bezsensowności własnych wierszydeł. To też przy czytaniu owych utworów chce się wołać: Panie, przebacz im!

— Co jednak jabym robił pośród tylu ćwierkających wróbli?—zakończył, zwracając się z pytaniem wprost do mnie.

Nie wiedziałem co mu na to odpowiedzieć. Teraz dopiero zorientowałem się, iż zupełnie niepotrzebnie wszczynałem tę rozmowę, ponieważ Stach nieraz już wypowiadał się w tej kwestyi: poglądy jego były już ustalone i przytem znane mi dokładnie. Przypomniałem sobie jednocześnie jego opowiadanie, jak, mając lat szesnaście, po nacytaniu się poezyi, secinami tworzył mnóstwo ulotnych wierszyków, widocznie gładkich zupełnie i nie głupszych od innych, skoro niejeden z nich w swoim czasie wydrukowany został w pismach peryodycznych. Następnie jednak, kiedy, jak sam się wyrażał, doszedł już nareszcie do rozumu, to jest wyrobił w sobie szersze poglądy estetyczne, zaprzestał naturalnie uprawianego dotychczas z niejakiem powodzeniem młócenia słomy, a natomiast, odświeżywszy w umyśle zasady umiejętnego tworzenia, począł, z większym nakładem twórczych wysiłków, dbać nietylko o formę i dobór rymów bez zarzutu, lecz i o prawdziwie artystyczne rozwinięcie i obrobienie podejmowanych przez się tematów. Niestety!—zapewniło mu to uznanie grona znawców i nie więcej.

Nagle zadrżałem. Raptowny odruch świadomości, jak błyskawica, rozdarł powłokę niejasnych dotychczas dla mnie stanów ducha ludzkiego i oświecił ich mechanizm. Odnalazłem źródło, z kąd tryska ów magiczny zdroj wiecznie młodej, wiecznie potężnej siły, czarującej wszystkich słuchaczy Stacha. Pojąłem przyczyny i podstawy porywającego zapału, z jakim wypowiadał swe szczere, z głębi serca płynące przekonania... Jedynie hołdowanie bezwzględnej prawdzie, jedynie szczerość względem samego siebie i w stosunku do innych mogła mu dać tę pewność siebie i tęgość charakteru, które w połączeniu z darem słowa i z niepospolicie wyrobionym umysłem, składały się na utworzenie z niego wyjątkowej i do wyjątkowych celów przeznaczonej jednostki.. Lecz i to jednocześnie zrozumiałem, że niegodnie postąpił, usiłując nakłonić go do ustępstwa na rzecz wymagań życiowych, sprzecznych z jego najgłębszymi przekonaniami. Wszelkie bowiem kompromisy z życiem są to podjadki naszego charakteru: raz uznawszy własną głupotę, lub też bezsilność, coraz słabszy opór stawiamy nacierającym na nas wątpliwościom, aż wreszcie pewnego pięknego wieczoru z westchnieniem ogromnej ulgi precz odrzucamy pozostałe w nas jeszcze zasady, i odtąd już płyniemy z prądem, jak barki cierpliwi i pokorni, z jednym tylko hasłem na zgorzkniałych ustach: żyć i używać...

Tymczasem dni płynęły i położenie wciąż sta-
wało się groźniejszym. Od pierwszego nowego mie-
siąca ja już sam opłaciłem mieszkania, które przed-
tem najmowaliśmy do wsiółki. Gryzło to Stacha
niezmiernie; to też nawet słuchać nie chciał obecnie
o żadnych, choćby najskromniejszych i najmniej dra-
żliwych środkach pomocy, jakieśmy mu próbowali
podsuwać wraz z paru kolegami. Sprzedawszy, lub
zastawiwszy w lombardzie wszystko, co tylko miało
pewną wartość, żył teraz jedynie herbatą z bułkami,
nie będąc w stanie pozwolić sobie na obiady. Godzi-
nami całemi siadywał nieraz w mieszkaniu, przy
swoim stoliku, pogrążony w głębokiej zadumie. Pa-
trząc nań, odgadywałem, jakie piekło demonicznych
pytań dręczy go i szarpie w podobnej chwili. I to
pytań, na które nie masz odpowiedzi. To też coraz
częściej w oczach jego spostrzegałem blask spokoj-
nej determinacji, lodem ścinający moje trwożliwe
przypuszczenia.

Okrutne są to dni, prawdziwe dni rozkładu,
kiedy zjawia się przed nami groźne widmo niedosta-
tku, powodując brak możliwości zaspakajania najpierw-
szych naszych potrzeb. Ciocia-nędza kościstą dłonią
impertynencko chwyta za ozydle, a drugą, w pięść
zwiniełą, wybębnia *requiem* na głowie swej ofiary.

Są jednak pomimo to ludzie, a nawet wielu jest
takich, co twierdzą, iż nędza hartuje ducha. Kłam-
stwo! Ohydne kłamstwo, wymyślone przez sytych dla
zaspokojenia własnego sumienia! Nic właśnie tak,
jak, nędza, nie podgryza, nie niszczy, nie ściiera

w strzępki całego, bez wyjątku, naszego jestestwa!
W nieubłaganych, jak kleszcze, twardych jej uści-
skach umysł nasz się łamie, kona... Dobrze jeszcze,
jeśli tylko ugnie się w tych zapasach. Lecz i wte-
dy inny już człowiek, niż dawniej, toczy dalej swą
taczkę życia...

.

Któregoś dnia wpadł do nas Zynio, a widząc
Stacha niezwykle rozdrażnionym, powziął myśl spró-
bowania jeszcze jednego środka. Długo chodził po
pokoju, coś sobie przypominał, tarł czoło, wreszcie
zwrócił się do mnie:

— Ty, Felek, zdaje się, znasz Klimeckiego?
Co?... Tamby się zwrócić należało, do jego „Świtu.“
To bogate pismo, kto się do niego przyczepi — nie
zginie...

Rzeczywiście, znałem osobiście redaktora jedne-
go z poczytniejszych pism, Klimeckiego, do którego
Stach wcale się nie zwracał, mając go za hetkę pę-
telkę. Był to człowiek, poważający literaturę wy-
łącznie, jako interes, to też nie mogliśmy czuć dla
siebie wielkiej sympatii. W danych jednak warun-
kach należało wyzbyć się skrupułów, gdyż Klimecki,
radząc się w prowadzeniu pisma wyłącznie swego
wiedzisię, mógł być innego od swych kolegów zda-
nia co do przypuszczalnej poczytności utworów Sta-
cha. Była w tem więc jeszcze pewna nadzieja.

Stach wysłuchiwał propozycji ze wzruszeniem ra-

mion. Biorąc to za oznakę milczącego zaakceptowania, tego samego dnia udałem się do Klimeckiego.

Przyjął mnie, według swego zwyczaju, z wyszukaną uprzejmością, pod jej osłoną ukrywał on głęboką pogardę względem wszystkich, którzy nakoło innej, aniżeli pieniędzy, obracają się osi. Z sympatyą i współczuciem wysłuchał relacji o położeniu bez wyjścia utalentowanego poety, a mego przyjaciela; poczem prosił o pozostawienie mu do przejrzenia przyniesionego przezemnie rękopisu Stacha, solennie obiecując ze swej strony zrobić wszystko, co tylko w jego mocy i t. d.

Dobrze znałem wartość jego lisiej grzeczności, lecz przypuszczałem, że może zdoła podanie pomocnej ręki Stachowi skombinować z własną korzyścią, a przeto postanowiłem czekać.

.

Nazajutrz humor Stacha zmienił się do niepoznania. Zrana obudził się rześki, wesoły, jak czło-wiek, nie dbający o nic. Zdziwiło mię to bardzo, gdyż nie widziałem słusznych powodów takiego ożywienia. Szczególnie jednak zwróciła moją uwagę wyjątkową serdeczność, a nawet tklliwość, z jaką stale przemawiał dziś do mnie. — Co mu się u licha stało?—myślałem z niepokojem. Nie miałem jednak czasu zapuszczać się w dłuższe dociekania, gdyż trzeba mi było ruszać na miasto. Wróciwszy o drugiej po południu, nie zastałem Stacha w domu. Przyszedł dopiero po jakimś czasie, łucząc w takt swych kroków

marsza z operetki. Ze śmiechem opowiedział swe spotkanie z Apellesem, który emablował na ulicy jakiegoś garbatonosego bankiera. Korzystając z tak dobrego humoru, zaproponowałem mu obiad.

— Zgoda! — zawołał. — Ale ja płacę, przynajmniej za siebie.

— Tak będzie niedobrze — zaproponowałem. — Niechaj ten płaci, kto ma pełniejszy pugilares.

— Nie dokuczaj mi, mój drogi! Nie dokuczaj... — prosił Stacha. — Jutro będziesz fundował, bo na dziś mnie jeszcze wystarczy.

Przy obiedzie gawędziliśmy, jak za dawnych, dobrych czasów. Stach przypominał sobie różne anegdotki, wyciągał wspomnienia ze szkolnych czasów, a wszystko z taką swobodą, z taką niewymuszoną wesołością, jak gdyby skończyły się już jego strapienia.

— Musiałeś ty, Stachu, mieć choć jedną ciotkę? — zagadnąłem go wreszcie, pragnąc skierować rozmowę na interesujący mię temat, t. j. wyjaśnienie powodów jego wybor nego humoru.

— A bo co?

— Widocznie umarła i zrobiła cię swoim spadkobiercą...

— Może i tak—odparł w zamyśleniu, stając się głuchym na dalsze zapytania.

Zacząłem się teraz przekonywać, że omyliły mię pozory: dzisiejsze jego ożywienie było sztuczne, chwilowe, wywołane prawdopodobnie uplanowanym projektem, lub też co prędzej powziętą stanowczo de-

czyż. Jaką?... tego się nie domyślałem; widocznie jednak nie zbyt krzepiącą, skoro tak łatwo znowu uległ zniechęceniu. Nerwowo podkręcając wąż, siedział teraz milczący, z utkwionemi w przestrzeń oczyma, w których wyraźnie malowała się duchowa rozterka. Przyglądając się baczniej, dostrzegłem w nich odbłysek przestachu, jaki miewają małe dzieci, gdy je kto chce bić. W jednej chwili fala przerażenia brała go w posiadanie, nasycając dzikością wzrok, a twarz wykrzywiając kurczowo. Może mi się to zresztą tylko tak wydało, gdyż od zbliżającego się garsona zażądał rachunku spokojnym, zwykłym swym głosem. Następnie uradziliśmy wracać natychmiast do domu, gdyż smętny dzień grudniowy nie usposobił bynajmniej do przechadzki.

Lecz i w mieszkaniu u siebie nie zdołaliśmy dojść do większego spokoju ducha: wprost nie mogliśmy znaleźć sobie miejsca. Niepokój smagał nas swem ostrem tchnieniem. Stach chodził szybko po pokoju, co kilka minut przysiadając na krześle; ja wziąłem do ręki jakąś powieść i przerzucałem kartki, nie mogąc połapać się w treści. Raz wraz to jeden, to drugi z nas zaczynał rozmowę, lecz po paru urwanych zdaniach nie mieliśmy już siły, ani ochoty do jej przedłużania.

Wtem od drzwi doszedł nas donośny odgłos dzwonka; naprężone nerwy nasze odpowiedziały szarpnięciem. Posłaniec przyniósł list. Od kogo? Szybko rzuciłem okiem na podpis. Józef Klimecki.

Co też to on pisze?

„Poemat pana Stanisława Pełki przeczytałem ze szczerem estetycznem zadowoleniem: dziwnie piękny ten utwór świadczy o niepospolitych jego zdolnościach. Z prawdziwą przeto przykrością kreślę tych parę słów, nie mogąc tymczasowo (wyraz podkreślony), ze względów zupełnie od mej woli niezależnych, zadość uczynić życzeniu Panów. Gusta naszej czytającej publiczności znane są powszechnie: żąda ona od pisma tylko lekkiej rozrywki, lub co najwyżej, informacji. Dlatego też dłuższy poemat, szczególnie podpisany mniejszym nazwiskiem, bezwarunkowo nie byłby czytany. Pomimo, to, pragnąc pana Pełkę dać bliżej poznać publiczności, przynajmniej mojej (znowu wyraz podkreślony) publiczności, ośmielam się uczynić następującą propozycję. Potrzebuję w tych czasach (jak najprędzej) do redagowanego przeze mnie pisma paru wierszyków o wskazanej formie, a ponieważ pan Pełka, posiadając wyrobiony talent, łatwo i umiejętnie potrafiłby to skutecznie, przeto radbym dziś jeszcze ujrzeć go w naszej redakcyi, w celu osobistego omówienia interesującej nas kwestyi.“

Tfu! do licha! Należało się tego spodziewać! Z niechęcią rzuciłem list na stół.

Stach szybko chwycił go i począł czytać. Widocznie jednak musiała mu się treść jego nie podobać bardziej jeszcze, niż mnie.

— Cynik bestya! — mruknął, czerwieniąc się z oburzenia.

Począł machinalnie schować list do kieszeni surduta i począł chodzić wzdłuż pokoju szybkim, niespo-

kojnym krokiem, rzucając od czasu do czasu parę dosadnych słów.

Nagle zatrzymał się, bystro spoglądając na mnie.

— Czy nie uważasz, że bezczelność tych.. handeśów przechodzi wszelkie granice? — zapytał, cedząc wyrazy przez zęby.

Spojrzałem na niego uważnie, zdziwiony tonem tych słów.

— Mam już tego potąd! — dodał, robiąc ruch palcem w poprzek gardła. Poczem szybko przeszedł do przedpokoju, narzucił palto i czapkę, i już po chwili dudnił obcasami po schodach.

Zerwałem się jak oparzony. Co mu się stało? Gdzie on pobiegł? Ha! Z niedobrym chyba zamiarem!

Z błyskawiczną szybkością narzuciłem wierzcinie ubranie i w oka mgnieniu znalazłem się przed bramą.

.

Był wczesny wieczór. W przejrzystym, cichem, lubo chłodnem powietrzu każdy przedmiot przedstawiał się wypukło, jak w płaskorzeźbie. Wyokie domy sterczały z obu stron ulicy, jak granitowe ściany. Sylwetki nielicznych przechodniów wyraźnie odcinały się od szklistego, w świetle latarni, tła kamienic i chodników: widać było nie tylko zarysy ich postaci, lecz także ich brylowatość. Stacha dojrzałem nieda-

leko: szedł szybko, nacisnąwszy czapkę na głowę, z rękoma w kieszeniach paltota.

Podążyłem za nim nieznacznie, obawiając się jakiej z jego strony ostateczności. Wiedziałem tylko, że ja nie mogę dopuścić go do tego. Nie powinienem. Jeśli lepsi z pośród nas będą ginęli tak marnie, to któż wtedy zostanie?

Tymczasem Stach ze Wspólnej skręcił na Marszałkowską, gdzie, wobec znacznego ruchu ulicznego, zmuszony był trochę zwolnić kroku. Ja też przystosowałem się do jego chodu: myśli moje poczęły krążyć spokojniej, w wolniejszym tempie. Przypominałem sobie teraz, między innemi, iż on nieraz wypowiadał się w kwestyi najłatwiejszej śmierci przez samobójstwo: według jego zdania najmniej przykrem, dla osób, nie mających rewolweru, jest być zdrazgotanym kołami pociągu.

Może on właśnie dąży teraz na dworzec wiedeński?

Ścierpłem...

Dokoła życie wrzało w całej pełni. Na tle zapadającej ciemnej nocy coraz jaskrawiej i wyraziściej świeciły sznury gazowych latarni i masy przeróżnych lamp, umieszczonych w witrynach sklepów. Chłodne, spokojne powietrze nadawało przechodniom rześkość, jakby po zimnej kąpieli — to też na wszystkich twarzach znać było ożywienie i bezwiedne lubowanie się ruchem. Urywany turkot dorożek, dzwonienie tramwajów, odgłosy kroków i rozmów zlewały się razem

w jeden ogłuszający hałas, którego pojedynczych dźwięków niepodobna było rozpoznać.

Stach szedł już teraz zwykłym swym krokiem: widocznie chwilowe rozdrażnienie ustępowało miejsca chłodniejszemu nastrojowi. Nagle zatrzymał się i począł się rozglądać dokoła, jakby szukając czego.

Niedaleko widać było wielkie, jasno oświetlone okna cukierni. Tam podążył bez wahania. Wszedłszy, szepnął coś usługującemu chłopcu i usiadł w oczekiwaniu, przy bocznym stoliku. Zatrzymałem się i ja—zdziwiony i zaniepokojony. Przez wielką szybę widać było dokładnie sporą salkę, zalaną jarzącym światłem; przy małych stolikach siedziało wiele osób, lecz jedynie osoba Stacha przykuwała w niej moją uwagę. Zrazu malowała się na jego twarzy tylko bezmyślna obojętność; widocznie siłą woli oddalał od siebie myśl wszelką, aby nie drażniła bolesnych, otwartych ran jego ducha. Następnie jednak twarz jego przybrała wyraz poważny, skupiony: pewno jedna jakaś myśl zawładnęła nim całkowicie. Zatopiony w dumaniu, nie uważał, jak chłopiec przyniósł mu herbatę. Zwolna goście zaczęli podnosić się od sąsiednich stolików, inni natomiast przybywali. Mnie nogi ścierpły od stania: jałem więc chodzić na niewielkiej przestrzeni, aby, o ile możności, nie tracić go z oczu.. Widocznie wielkie sprawy ważyły się teraz w jego umyśle, gdyż świat zmysłowy nie istniał dlań wcale.

Nareszcie... nareszcie obmyślił.

Uśmiechnął się, lecz dziwny to był uśmiech, jakiego nigdy jeszcze na jego twarzy nie widywałem. Wydobył notes i począł w nim coś kreślić z przerwami i długim namysłem.

Znowu kolnęło mię niedobre przecucie. — Zapewne testament pisze — błysnęła mi myśl — lub może dla mnie parę słów pożegnania... Stachu! Stachu! czyż ci nie żal będzie tak śmiało niegdyś w myśl wznoszonych ideałów, które tu na ziemi zostawisz niespełnionemi? czyż i ty opuścisz tę niwę, na której pracowników trzeba jaknajwięcej, pracowników dzielnych i nieczem niezmożonych? Z pola walki jak tchórz nikczemny uciekniesz?...

On tymczasem nie odczuwał moich wezwań, tylko pisał dalej. Skończył, przeczytał, uśmiechnął się, wypił herbatę, zapłacił i wyszedł.

Na dworze zrywał się teraz wiatr, niewielki, jak to zimą bywa, ale dojmujący do kości. Pochód nasz rozpoczął się nanowo. W bliskości dworca wiedeńskiego umyślnie zmniejszyłem dzielącą nas odległość, aby móżdż zabiedz mu drogę. On jednak inne miał, niż myślałem, zamiary, gdyż szedł wciąż prosto...

Tu stała się rzecz nieprzewidziana. Z gmachu dworca poczęły wysypywać się tłumne roje przyjezdnych, z gorączkowym pośpiechem dążąc ku miastu. Posługacze kolejowi, z walizkami i tłómkami w rękach nawoływali dorożkarzy; ci znowu donośnem: na bok! — usuwali z drogi publiczność; wszystko to, przy ogólnem zamieszaniu, tworzyło nieopisany hałas.

W tym zamęcie Stach zniknął mi z oczu.

Daremnie z szybkością i bezwzględnością szczupaka rzucałem się w najgęstszy tłum, aby dojrzeć tak dobrze znaną mi jego postać, daremnie narażałem się na ironiczne, a czasem opryskliwe uwagi rozpychanych przezemnie przechodniów— zasapany, zmęczony, musiałem po jakimś czasie uznać bezpłodność własnych wysiłków. Tymczasem fala ludzka niosła mię coraz dalej — dopiero koło Złotej opamiętałem się, że nie mam najmniejszej potrzeby dążyć w tym kierunku.

Wróciłem do domu, targany niepewnością co do losów Stacha. Wyczerpany długą pogonią, a jeszcze bardziej gnębiącym niepokojem, rzuciłem się na łóżko, gdzie długo w noc przeleżał bez ruchu, snując w rozgorączkowanym umyśle fantastyczne rojenia.

Mocą wyobraźni widziałem rozpędzoną, ziejącą iskrami lokomotywę, w szalonym pędzie zbliżającą się ku leżącemu w poprzek szyn Stachowi. Lekkie szarpnięcia, potem zgrzyt... okropny zgrzyt miazdżonych kości ludzkich — i rozhukany pociąg, jak burza, tęczy się dalej, aby zniknąć w mrocznych czeluściach nocy... Tu znowu plastycznie zarysowywały się inne, jasne teraz i promienne obrazy; Stach usunął się z dotychczasowej dusznej, ciężkiej atmosfery i pracuje gdzieś na uboczu, zachowawszy dawną moc i nieskazitelność ducha. Wreszcie i ta idylla, i denerwujące zmyły i wszystkie, na wpół senne fantasmagorie poczęły zlewać się w jedną całość, two-

ząc chaotyczny amalgamat obrazów i dźwięków... Zasnąłem...

Nazajutrz rano posłaniec miejski wręczył mi starannie adresowany list. Przeczytałem co następuje:

„Życia sobie nie odebrałem. Żegnaj Cię.

Stanisław Pelka“.

Machinalnie jałem wsuwać list napowrót do koperty. Wiadomość, zredagowana w telegramowym stylu, oszołomiła mnie do reszty po uiedospanej nocy. Przez chwilę wydało mi się, iż znowu stałem się pastwą przywidzenia. Lecz nie! miałem przecież w ręku realny dowód rzeczywistości.

Powtórnie zabrałem się do odczytywania listu. „Życia sobie nie odebrałem. Żegnaj cię. Stanisław Pelka.“ Życia sobie nie odebrał! To, naturalnie, bardzo mnie cieszy. Ale dlaczego tak stanowczo żegna się ze mną? Czynimy to wówczas jedynie, kiedy nie mamy już nadziei spotkać się w życiu ze sobą. A przecież nasz świat nie jest tak znów wielki... Warszawa, gdzie istniejąca w wysokim stopniu koncentracja ruchu umysłowego zmusza biorące w nim udział inteligentne jednostki bezustannie ocierać się o siebie — i prowincya, z kąd każdy, przyciągany atrakcyjną siłą wielkiego miasta,

z miłą zawsze chęcią śpieszy do stolicy... Jakże tu się nie spotkać?

Chyba... chyba że on odtąd inną pójdzie drogą... Nie, to nie może być!

Przez parę dni następnych chodziłem, jak odu-rzony. Przypuszczalne odstępstwo Stacha od do-tychczasowych zasad dręczyło mnie niezmiernie. Da-remnie wszelkimi sposobami starałem się pozbyć do-kuczliwej myśli. Odepchnięta, wracała natychmiast, coraz nowe dowody przytaczając na swe poparcie. Kropla po kropli do serca mego sączył się jad zwąt-pienia — zwątpienia co do ludzi. Jakto? więc czło-wiek, ta najrozumniejsza istota, nie jest w stanie zdobyć się na tyle rozumu i silnej woli, aby życie ca-łe przejść po równej drodze, zawsze w zgodzie z sa-mym sobą? więc ideał doskonałego człowieka, tylo-krotnie przez religię lub przez mędrców nakreślony, nigdy nie przejawia się w skończonej formie? Lecz jeśli tak jest naprawdę, jeśli każdemu z nas sądzono choć raz w życiu unurzać się w błocie, to cóż dziwne-go, że ludzie, wiedząc o tem, wolą odrazu nie bawić się w cnotę? Idąc konsekwentnie dalej w dowodze-niach, widzą w społeczeństwach ludzkich nie skupio-ne organizacje istot ucywilizowanych, dążących do wzajemnego udoskonalenia, lecz raczej stada żrących się między sobą pawianów. Siła i spryt stają się je-dynymi regulatorami stosunków tak pomiędzy poje-dynczymi członkami w społeczeństwie, jak i między

całemi społeczeństwami. Pod osłoną wzniosłych ha-seł miłości bliźniego trwa dalej walka o byt w całej swej zwierzęcości: o grosz lub o niebaczne słówko biorą się ludzie za lby.

Haniebnie wstrętny ten obraz powstrzymał mnie od dalszego snucia wniosków. Niepodobień-stwem jest, aby tak źle było na świecie. Zresztą wnioski te same runą, jeśli założenie okaże się błę-dnem, co zupełnie możliwe jest wobec tego, iż nieła-two byłoby zapewne Stachowi przekreślać w ten spo-sób całą swą przeszłość, a przytem znany mi dobrze nieugięty jego charakter sam zaprzeczał podobnym domysłom. Pomimo to jednak dokuczliwa myśl nie ustępowała: sprzedaj swe zasady, sprzedaj, sprze-dał! — szeptała mi wciąż do ucha. A ja, z uporem człowieka, któremu chcą zabrać najdroższe jego skar-by, powtarzałem: nie, nie i nie!..

Wieczór zapadał.

Wróciwszy z miasta zziębnięty, znużony, zasia-dłem do stolika, aby przy świetle lampy uporządko-wać nagromadzone od pewnego czasu notatki. Za-głębiłem się po uszy w tej robocie, odtwarzając dzień po dniu swe życie umysłowe z ostatnich paru mie-sięcy.

Cisza otaczała mnie zupełna: zrzadka tylko przerywało ją wesołe buchanie ognia. niedawno w pie-cu rozpalonego. Nanowo odczuwałem dawno minio-ne wrażenia. Przeżyte myśli i rozprawy powraca

ły w całym swym uroku. Zdawało mi się, iż znowu rozmawiamy ze Stachem, podnosząc interesujące nas kwestye.

To też niebardzo zdziwiłem się, ujrzawszy go w rzeczywistości, stojącego na środku pokoju.—Muszą być drzwi niezamknięte — przemknęło mi tylko przez głowę. Już, już miałem podbiec ku niemu ze słowami:—Tyżeś to nareszcie!—gdy, rzuciwszy na niego okiem, zachwiałem się w pierwszym postanowieniu.

Był dzisiaj jakiś inny, niż zawsze. Ubrany z wyszukaną elegancją, niezwykłą dotychczas u niego, uderzał przedewszystkiem wyzywającą pewnością siebie; po twarzy błędził uśmiech zagadkowy.

Instynktownie cofnąłem się w zapale radości. Chłodno, z udanym spokojem, podaliśmy sobie ręce.

Pragnąc odrazu zrzucić z siebie ciężar niezbędnych wyjaśnień, zagadnął mnie z partesu.

— No, ja już wyzbyłem się chłopięcych naiwności, a ty?

Za całą odpowiedź spojrzałem na niego.

Musiała mu się niepodobać ta niema wymówka, gdyż, odrzucając przybraną maskę obojętności, jał mówić szybko, głosem podrażnionym:

— Niewłaściwie patrzysz się na mnie z politowaniem, jak na jakiego głupca, gdyż ja właśnie teraz dopiero być nim przestałem. Teraz dopiero zrozumiałem, jak wielką niedorzecznością jest niebotyczne wywyższanie własnego „ja,” stwarzanie we własnym umyśle przez siebie i dla siebie odrębnego

zupełnie świata. Istnieją przecież miliony milionów podobnych nam jednostek, nie tylko żyjących, lecz i myślących także. Jakieżby więc nieopisany zamęt zapanował na ziemi, gdyby każdy zechciał wyłącznie własne poglądy uważać za nieomyłne! Jedyne pycha, zaślepiona pycha młodzieńcza może roić coś podobnego. Brany pojedynczo, każdy osobnik ludzki jest prochem, pchlą, bańką mydlaną, jednym słowem — czemś nie nieznaczącem. To samo widzimy i w umysłowej sferze, i dlatego, kto chce dobrać się prawdy, nie powinien zamykać się w czterech ścianach pokoju, sam na sam ze swymi myślami, lecz raczej niech pilnie śledzi żywe tętno przez ogół wyrabianych ideałów, gdyż w ten tylko sposób zdoła wyrobić w sobie poglądy, odpowiadające rzeczywistości naszym pragnieniom i potrzebom.

— Sofizmaty pana Klimeckiego — pomyślałem w duchu. Słuchałem dalej, nie chcąc bezpożytecznie, jak o tem z góry byłem przekonany, wdawać się w rozprawę.

— W streszczeniu można to wyrazić tak:—prawił dalej Stach z ożywieniem nowonawróconego—wolno nam być reformatorami, lecz nigdy burzycielami istniejącego porządku, nawet w najlepszych zamiarach,—burzycieli bowiem ludzkość instynktownie się obawia, jakby przeczuwając w nich najgorszych swoich wrogów. Zasadą wszelkich skombinowanych ruchów, a takim właśnie jest ogólne nasze dążenie ku szczęściu, jest hasło: *festina lente*—spiesz się pomału.

Otóż, jeśliby nawet przyjęte przez ogół poglądy nie dorównywały moim pod względem szerokiego objęcia i etycznego wyrobienia, to ja ze swej strony nie powinienem okoniem stawać przeciw wszystkiemu,—bynajmniej! w ten sposób przyczyniałbym się tylko do powiększenia zamętu w umysłach! — lecz należy mi przyjąć owe, niezgodne z mojemi, wnioski, wchłonać je w siebie, udoskonalic w miarę możności, i wtedy puścić je znowu w kurs dla najszerszego rozpowszechnienia. W ten tylko sposób odbywa się ewolucya poglądów szerokich mas; wyższe i szlachetniejsze pojęcia przenikają coraz dalej niepostrzeżenie, nie budząc nawet opozycji. Zrozumiałem to, powtarzam raz jeszcze, teraz dopiero, a zrozumiawszy, zostałem najbliższym współpracownikiem pana Klimeckiego, pragnąc iść odtąd w życiu równolegle z innymi, a nie, jak to dotychczas czyniłem, pogonią po manowcach za chimerami ujawniać tylko nadwerężenie swego umysłu... Czy aby tylko ty mnie dobrze rozumiesz?...

O! rozumiałem doskonale tę dziwną mieszaninę nieprzemyślanych należycie poglądów. Poprzez misterną tkaninę szumnobrzmiących frazesów, przezierając z nich pozioma chęć używania, z szelmowskim sprytem zaszczipiona przez Klimeckiego. Lecz było mi tak smutno, tak przeraźliwie smutno, że mi się nie ważyło nawet ust otworzyć. W jakim celu? Wszak wiedziałem już to, co mi było potrzebne. Stach okazał się chłystkiem, mało co wyżej sięgającym mocą umysłu i charakteru od przeciętnych zjadaczy chleba. Złudą więc były marzenia moje o możliwości istnienia

czystych i pięknych duchów ludzkich! Złudą był cały gmach poglądów, wysnuwany z nieśmiertelnych pierwiastków prawdy, dobra i piękna! Oto ten Stach, ten bezwzględny dotychczas czciciel zasad tych i obrońca, poczyną nagle pluć na to, przed czem kolana dawniej zginał. Prawda?—zastąpił ją inna, trochę tańszą. Dobro?—skopał je nogami, własną korzyść na pierwszym stawiając planie. Piękno?—zaprzeczył mu wstrętnym brakiem zasad... I zdjął mnie wielki żal do niego za tę pustkę, com ją nagle uczuł w sercu i umyśle.

Stach widocznie domyślał się mniej więcej, co się we mnie działo, gdyż, pakując do walizki szczupłe swoje manatki, począł znowu mówić, party wewnętrzną potrzebą wypowiedzenia się i—wytlómaczenia:

— Zresztą, z jakiegokolwiek punktu rozpatrywać będziemy tę kwestyę, zawsze słuszność pozostanie po mojej stronie. Tak np. weźmy zasadę walki o byt. Wszyscy uznajemy istnienie jej w naturze; lecz nie wszyscy dokładnie zdajemy sobie z niej sprawę. Tymczasem przy bliższem rozpatrzeniu się w jej objawach doszlibyśmy do odkrycia i poznania prawa,—prawa, od którego niema wyjątków,—głoszącego, że w walce o byt zwyciężają nie najlepsze jednostki, lecz jedynie najlepiej przystosowane do warunków. W takim przeto stanie rzeczy, jaki teraz istnieje, lajdak zawsze będzie tryumfował, a jego antyteza—ginał. Zdaje mi się też, że owym najlepszym należy wziąć już wreszcie rozłrat z dotychczasową niepraktycznością, należy poczynić pewne ustępstwa na

rzecz wymagań życiowych,—opłaci im się to stokrotnie, z ich nawet punktu widzenia, gdyż piastowane przez nich ideały żyć będą i utrwać się pośród mas, zamiast ginąć niespełnione, jak to dotychczas zwykle bywało. Ale po co ja to mówię? Ty mnie przecież nie zrozumiesz! nie zechcesz! Taki staroświecki, jak ty, idealista, będzie sianko swoje gryzł aż do śmierci, nie zamarzywszy nawet o szerszych horyzontach. A więc dobrze! Pójdziemy odtąd odmiennymi drogami...

Wymawiał te ostatnie zdanie z patosem, usiłując nadać im ton pobłażliwej ironii; czuć w nim jednak było zrywającą się, niemą dotychczas, burzę, podsycaną mojem upartem milczeniem, które widocznie brał za oznakę pogardy.

Walizka, do której śpiesznie wpychał swoje manuskrypta, kilka książek i pozostałe mu szczegóły toalety, trzeszczała od nacisku jego rąk.

Nagle zatrzymał się, pomyślał, szarpnął walizkę i począł napowrót wyciągać z niej swoje rękopisy.

— Nie niewarto robić do połowy—mruknął, podchodząc z papierami do pieca.—Nie chcę mieć pamiętek dawnej mej głupoty!

Sycząc z bólu, otworzył rozpalone drzwiczki i na żarzące się węgle począł z impetem ciskać poemata, porozpoczynane urywki, studia, notatki,—cały swój długoletni dorobek. Dogasający już ogień buchnął nagle jaskrawym płomieniem, rzucając łunę na twarz jego, w obecnej chwili wyrażającą jeno dziką zaciełość. Pastwił się nad samym sobą, pragnąc znaleźć

w tem ujście dla bolesnych wątpliwości, dla wyrzutów sumienia, które dręczyły go najniezawodniej. A. mnie rozpacz brała na widok takiego upadku człowieka, któremu przywykł uważać za wyjątkowo rozumnego i zacnego. Chciałem wołać, wzywać go do opamiętania się, lecz głos zamarł mi w piersiach: ból ścisnął mnie za gardło żelazną obręczą, obezwładniając całkowicie. Siedziałem bez ruchu, jak skamieniały, z oczyma wlepionymi w ten żywy obraz, szarpiący mi serce.

Gdy już ostatni świstek dopalił się do szczętu, Stach podniósł się z wolna, ociężałe i długo patrzył na stygnące popielisko, jedyny ślad tyłu wysiłków jego umysłu. Powiódł wzrokiem po pokoju, wziął walizkę i znowu stanął przedemną.

— O, życie! jaką ty jesteś szopką!—wyrzekł po chwili z bolesnym skurczem ust...

I poszedł...

Zostałem sam, zboląły i zgębiony na duchu, na próżno usiłując zorientować się w chaosie nasuwających mi się myśli, wyglądających z pozoru raczej na stek niedorzeczności. Bo jakże wytłómaczyć sobie tę okoliczność, iż taki Stach, który stanowczo i z widocznym wstrętem odsuwał od siebie wszelką myśl o nowych sposobach życia, noszących na sobie chociaż cień innej moralności, aniżeli tej, która on wyznawał, nagle zostaje najbliższym współpracownikiem Klime-

ckiego, znanego ze swych cynicznych wynurzeń, głoszących przekonanie, iż rozumny człowiek rządzi się w życiu jedną tylko zasadą: drzyj lyko!—Więc podniosłość ducha, która uchroniła go od drobnych poślizgnięć, okazała się zbyt słabą, niedostateczną tarczą dla charakteru wobec silniejszej pokusy?... Wyrzekł się jej, wyrzekł się wszelkich zasad, frazesami jeno osłaniając swój upadek. Lecz jeśli tak czysty i silny duch uległ w walce z nieprzyjawnymi warunkami, to któż z nas, szaraczków, oprzeć się im zdoła? Gdzież pewność, gdzie rękojmia i przykład, że można życie całe przejść, ani na chwilę nie obniżając raz przyjętych ideałów? Powiedział mi na odchodnem, że życie jest szopką. Może to i prawda? Może i ja, chociaż na innych przesłankach się opieram, taki sam wyprowadzę z nich wniosek? Bo skoro życie nasze nie z jednego motka się przedzie, skoro kierunek jego od blahostek częstokroć zależy, skoro przeważnie ślepy traf niem rządzi,—to czemuż ono jest w istocie?

Z rozpaloną od wysiłku głową, gorączkowany nawalem pytań, domagających się odpowiedzi, długo w noc szamotałem się bezsilnie w więzach dręczących zagadnień, nie widząc przed sobą drogi, dróżki nawet najmniejszej, mogącej poprowadzić mnie ku światłu. I jedno tylko pytanie, proste, lecz okrutne w swej prostocie, poczęło wreszcie dominować nad innemi, powracając wciąż, nieublagane, jak śmierć, na którą czas już przyszedł:

— Czyż naprawdę życie jest szopką?

...Słońce, coraz wyżej wznoszące się na zodiaku, i ciepły wiosenny wiatr robiły swoje. Napęczniałe zawiązki liści na drzewach, przeistaczając się szybko, poczęły okrywać korony kasztanów i akacyi gęstwą delikatnej, bladej zieloności. Miasto mialo się. Jednocześnie z otwieraniem okien i myciem szyb, mieniących się w słońcu, jak kryształowe, wysypywały się na ulice coraz nowe i coraz gęstsze tłumy, napelniając całe miasto ożywionym pogwarem. Wszyscy z upojeniem wchłaniali świeży, ożywczy powiew młodości, naraz odnajdując w sobie bogate zasoby sił, zdrowia, nowych pragnień, uczuć i myśli. I płynęły zewsząd barwne fale ludzkie, zbitą masą zapelniając chodniki ulic, zatrzymując się w ogrodach i na skwerach, i rozlewając się za miasto do podmiejskich parków, willi i ogródków...

Siedziałem przy stoliku, zajęty czytaniem jakiegoś dzieła, gdy nagle prąd czystego, świeżego powietrza, dostawszy się tu przez otwarte okno, załaskotał mi przyjemnie płuca i zmysł powonienia. Machinalnie zamknąłem książkę i podszedłem ku oknu. Tak ponętnie świeciło dziś słońce na lazurowem niebie, takie łagodne, rozkoszne tchnienia niosły lekkie podmuchy wietrzyka, i taka moc upajająca biła z każdego

atomu powietrza, zem, nie namysławiając się długo, nałożył palto i kapelusz, i ruszył—gdzie oczy powiodą.

Ulice od mnóstwa jaskrawych strojów kobiecych wyglądały teraz, jak barwna łąka. Kolory: czerwony, niebieski i biały, napotykanne w przeróżnych odzieniach, mieszały się z ciemniejszymi ubiorami mężczyzn i starszych pań. Niezliczone tłumy wyległy na miasto, krążąc, uśmiechnięte, po główniejszych ulicach i szczerlnie zapelniając przystępniejsze ogrody.

Podążyłem w stronę Alei Belwederskiej, spodziewając się znaleźć tam mniejszy ścisk, a za to więcej natury w jej pierwotnym blasku i potędze. Jakoż, gdy znalazłem się pod rozłożystymi klonami i kasztanami tej alei, gdzie powietrze, nieskalane oddechem wielkiego miasta, było doskonałej czystości i świeżości, gdzie promienne słońce, poprzez młode pędy, bujnie krzewiące się u wierzchołków drzew, rzucało na ziemię tylko przyćmione, jakby przez sito przesiane światelka, lub zawieszało w powietrzu długie smugi złotego pyłu, i gdzie miękki, łagodny wietrzyk pięściwym podmuchem pogrążał przechodniów w rozkosznej kąpeli—uczułem ogarniające mnie zwolna błogie znużenie, w którym wszelkie bóle, smutki i udręczenia roztopiały się i ginęły, a natomiast budziła się, niewiedomo kiedy i jak poczęta, z żywiołową siłą opanowująca mnie całkowicie—rozkosz istnienia.

Pierwszy to raz od chwili pamiętnego rozstania się ze Stachem uczułem się zadowolonym z życia. Umysł mój reagował na zewnętrzne zjawiska natury

zacierającej młodzieńcem swem technieniem przeżyte już rzeczy i sprawy, przeżyte bóle i cierpienia. Budziły się we mnie nowe myśli, rojne, gwarne, wartkie, skupiające się w podjętem nanowo dążeniu do ostatecznego celu swego—syntezy. Na nieprzebolalej jeszcze ruinie starych ideałów kiełkowały już nowe, zajęte poszukiwaniem jakiejś myśli przewodniej, która im dała niespożytą moc i trwałość. Zdawało mi się, że już skończył się ten bezdennie smutny okres przygnębienia, a nawet, właściwie mówiąc, zupełnego unicestwienia umysłowego, jakiemu podlegałem przez czas kilku długich miesięcy zimowych. Zaczynałem teraz wierzyć, że to był tylko sen, który zniknie szybko i bez śladu, jak mgła nocna, rozpierzchająca się za pierwszym podmuchem porannego wietrzyka, i słońce prawdy zajaśnieje wreszcie wspaniale przed moim umysłem.

Doszedłszy do końca alei, zawróciłem z powrotem. Przechodniów było mało, więc już zdaleka dojrzałem rubaszną, choć według ostatniej mody przystojoną postać Zynia. Witał się ze mną z wielkim zapałem, hałaśliwie wyrażając swą radość z tego spotkania.

— Słyszałeś nowinę?—zagadnął po pewnym czasie, poświęconym na wstępne wykrzykniki.

Zrobiłem duże oczy. Nowin żadnych oddawna już nie słyszałem, gdyż, zresztą, słuchać ich nie chciałem.

— Stach wraca na łono uczciwości!—skandował

Zynio, pewny wrażenia, jakie na mnie wywrze ta wiadomość.

Rzeczywiście, była to dla mnie prawdziwa nowina, najzupełniej niespodziewana. Zdobyłem się też tylko na odruchowe:

— Nie może być!

Zynio jednak trzymał mnie już za guzik od pal-tota i z właściwą sobie natarczywością, szybko, trochę niewyraźnie, opowiadał ze wszelkimi szczegółami nową zmianę frontu niezłomnego niegdys poety.

Według słów jego, Stach, oceniwszy nareszcie zle, a nawet brzydkie nieraz strony słów i czynów Klimeckiego, zapragnął zerwać z nieprzyjemnym, bo rzucającym posępny cień na swych współpracowników, pryncypałem, i w tym celu skorzystał z pierwszej lepszej nadarzającej się sposobności, aby, podziękowawszy mu za dotychczasową pomoc i współczucie, wynieść się chyłkiem pod inny daszek. Czy jednak Klimecki został przez kogo przestrzeżony, czy też sam zwąchał pismo nosem, dość że przy obojętnem zresztą pożegnaniu napomknął coś o uciekinierach z pod chorągwi, a nawet odstępcach. Wówczas Stach uniósł się wielkim gniewem i, nie zważając na świadków, wypowiedział mu tyle prawd, że Klimecki, chcąc nie chcąc, musiał zamydlać je pojedynkiem. Wdała się w to policja: panowie tymczasem ochłodli w bojowym zapale i poprzestali jedynie na wzajemnem wieszaniu na sobie jaknajwiększej ilości psów. Wskutek tego zajścia, Stach w pewnych kołach słynie teraz,

jako bohater i męczennik za uczciwość i prawdę. Są coprawda tacy, co twierdzą, choć on, Zynio, zupełnie temu nie wierzy, że właściwą przyczyną całej awantury nie była wcale różnica przekonań, lecz jakieś drobne, groszowe, nieporozumienie redakcyjne, z którego Stach skorzystał, aby przestać już wypłacać długie wdzięczności, a natomiast wypłynąć na szersze wody poważniejszych i poważniej placących tygodników. Ho! ho! ma on teraz bestya znajomości i stosunki, bo ma! Uzyskał też zaraz miejsce felietonisty w „Tygodniku“, gdzie za każdorazowe nasmarowanie kroniczki pobiera dość okrągłą sumę. Ile w tem wszystkim jest prawdy, a ile fałszu, on, Zynio, nie próbuje nawet dochodzić. Stach zresztą nic sobie nie robi z wątpliwości całego świata, gdyż pieniędzy ma już teraz huk, a przytem gorliwie przygotowuje się do bliskiego ożenku.

— Jaktó! żeni się?—zapytałem zdziwiony.

— Jakbyś zgadł!—odparł, śmiejąc się, Zynio—i właśnie to pranie brudów przed ślubem dużo mi daje do myślenia.

Mnie także zastanowiło to, com usłyszał. Sprawa cała przedstawiała się jeszcze dość ciemno. Czy to miało być przebudzenie się w poczuciu swej siły zgębionych dotychczas lepszych stron jego ducha? Protest nieskrępego jeszcze ostatecznie ideału przeciw złej, głupiej, ohydnej rzeczywistości? Czy też może był to tylko dowód doskonałego zwierzęcego sprytu, rozumiejącego, że do pewnych celów najłatwiej jest się dochrapać zapomocą podbijania bęben-

ka opinii publicznej zdawkową moralnością i płaszczeniem się przed jej bezkrytycznymi nieraz nakazami, a więc oznaka do szpiku kości przenikającego upodlenia? Coprawda, pod wpływem ciepłego tchnienia wiosny, usposabiającego do miłych i radosnych wzruszeń, gotów byłem przechylić się raczej ku pierwszemu przypuszeniu. Iskierka nadziei i wiary w niezniszczalność pierwiastku dobra, tkwiąca we mnie, pomimo wszystko, gdzieś w głębinach ducha, poczęła odżywać i rozpościerać się w jasny, bujny płomień.

Zynio tymczasem zagadnął mnie znova, z malenkim uśmieszkim na szerokiej twarzy:

— Zapewne teraz, wobec mającego nastąpić tak ważnego aktu w życiu Stacha, darujesz mu dawne urazy? Wszak to twój długoletni przyjaciel...

Przyjaciel? Wyraz ten wydał mi się niedość ścisłym określeniem zachodzącego niegdyś między nami stosunku, gdyż, właściwie mówiąc, uczucie przyjaźni, w niezbyt nawet odległych czasach przeszedłszy do historii, nie spotyka się teraz wcale. Wpłynęły na to: wzmożenie się do niebywałych dawniej rozmiarów i szerokie rozpowszechnienie walki o byt, wynikłe ze zmiany ustroju gospodarczego Europy—z jednej strony, a z drugiej—coraz bujniej krzewiąca się indywidualizacja poszczególnych osobników uwilizowanych społeczeństw. Zbyt wielkie różnice istnieją teraz między ludźmi w charakterach ich i poglądach, ażeby mogła być mowa o całkowitej i doskonałej harmonii dwóch bliskich nawet sobie duchów.

To też odparłem żywo.

— Przyjaźni, we właściwym tego słowa znaczeniu, między Stachem a mną nie było i być nie mogło. Owa przyjaźń dawnych czasów, o którejby się jeszcze dużo dało powiedzieć, leży teraz w lamusie, w towarzystwie innych starych gratów. Wyszła z użycia. Uczucie to zastąpione zostało w stosunkach między ludźmi bezwzględna, szczerą życzliwością, która, nie nakładając żadnych krępujących więzów, posiada niemniej stron dodatnich.

Zynio śmiał się już bez ceremonii.

— Zlituj się, mój Feliksie, nie mów tak górnie, bo gotów jestem pęknąć z napięcia myśli. Dobrze to jest na *forum* wobec podtatusiałych ojców miasta, albo na katedrze, gdy cię niebieskie pończoszki słuchają, ale teraz?... — wzruszył ramionami i począł spoglądać na niebo. — Wracajmy do miasta, bo coś się chmurzy. Ilekroć włączysz na koturny, zawsze mi się zdaje, że deszcz będzie padał.

Teraz na mnie przyszła kolej wzruszyć ramionami. Wiedziałem o tem, że Zynio bywa często trywialnym, lecz dopiero teraz przekonałem się, że jest marnym psychologiem. Nie dostrzegł zaszłej we mnie ewolucyi! Nie domyślał się całej tragedyi, jaka wstrząsała moim umysłem!... Tak! Chodziłem niegdyś na koturnach, ale zważyło mnie z nich życie! Dawniej wierzyłem w człowieka, wierzyłem, że, pomijawszy nieliczne zwyrodniałe wyjątki, każdy z nas posiada w sobie kryterium moralne, pozwalające odróżniać dobro od zła, rozum od głupstwa, wzniosłość od podłości i piękno od szpetoty. I w to wierzyłem,

że dobro nigdy nie ginie, lecz raczej wzмага się wciąż i udoskonala tak w osobnikach, jak i w narodach całych! Więc zdawało mi się, że idziemy naprzód, idziemy w bojowym ordynku, karni rozamem i silną wolą. Tam — w świątyni wszechideału! tam nasze miejsce!... Było to tylko złudzenie—teraz wiem o tem, bo mnie Stach na tę myśl naprowadził. Kiedyś go stracił — otworzyły mi się oczy. Pragnąc silniej ugruntować swe ideały, oprzeć je na prawdziwej znajomości człowieka, poczęłem zaglądać do dusz ludzkich, szperać w nich, rozkładając na pierwiastki znajduwane tam uczucia i myśli. Lecz im dalej zapuszczałem się w te dociekania, tem smutniejsze nasuwały mi się wnioski. Widziałem teraz i rozumiałem, jak nędzną kreaturą jest człowiek. Jak gnuśną jego myśl, jak słabą wolę. I to, że ludzie nie półbogami są, lecz nędznym prochem, że umysł, żądny prawdy, błąka się zawsze po manowcach nierozwikłanych zagadek, żeśmy je zcze nie w drodze do ideału, lecz zaledwie zaczynamy się do niej przygotowywać, — wszystko to rozumiałem teraz dokładnie. Było mi smutno, bezdennie smutno! Odczuwałem wewnętrzną mękę i rozpacz tych, co w życiu nie szukają ulgi i tych, co, nie mogąc zgodzić się na taki koniec, życie sobie odbierają. Sam byłem bliski targających nimi uczuć, bliski zwątpienia. Nie wiem, co mnie od niego wstrzymało. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mi chwilami, żeby jeszcze nie opuszczać rąk, lecz czekać, czekać... Więc czekałem, ale w ludziach widziałem już teraz

tylko bardzo a bardzo poziome istoty... Poziome, lub nieszczęśliwe...

— — Niesłusznie mnie o to posądzasz — rzekłem głośno—gdyż na koturnach stąpa tylko niedoświadczona młodzież lub też ludzie o ciasnych umysłach. Ja się już teraz do żadnej z tych dwóch kategorii nie zaliczam. Lecz gdy ty bierzesz wszystko z lekkiej strony, ja staram się zawsze sięgać do rdzenia rzeczy. Kwestya wyłącznie usposobienia...

— To tak podchwycił Zynio — jak, nie przy mierzając, bywa i z psami: jeden rodzi się na świat wesół, więc życie całe jeno merda ogonem, a drugi woli flirtować z nimfą melancholią i po nocach wyje załośnię.

Rzuciłem krótkie—tak! nie czując się w odpowiednim humorze do przedłużania tej dziwnej rozmowy.

Na chodnikach tłumy spacerowiczów powiększały się bezustannie. Powietrze, przesycone kurzem, stawało się coraz cięższe i gorętsze. Była to już przechadzka nietyle przyjemna, ile nużąca.

Wtem Zynio trącił mnie zlekka łokciem.

— Idą! — szepnął.

Zdziwiony, odpowiedziałem pytaniem.

— Kto? gdzie?

— Stach z narzeczoną—odmruknął z cicha i niby obojętnie.

Jakoż o kilka kroków przed nami dostrzegłem znaną mi dobrze twarz Stacha. Odrazu uderzył mnie w niej brak jakiś. Zrobiła na mnie wrażenie



pośmiertnej maski, oddającej dokładnie rysy, a nawet wyraz twarzy, lecz bez ducha.

Podaliśmy sobie ręce.

Zynio tymczasem witał się śpiesznie z paniami. Zaraz też, nie proszony, przedstawił mnie:

— Feliks Sielecki.

Skłoniłem się uprzejmie i po wymianie kilku zdań, ruszyliśmy dalej całem towarzystwem. Zynio szedł przy paniach. Było ich dwie: widocznie matka z córką. My ze Stachem zostaliśmy nieco w tyle. Usiłowałem przypomnieć sobie, gdzie to ja już widział narzeczoną Stacha. Miała ona sympatyczny buziak młodej, wesołej dziewczyny.

— Powiedz mi—zapytałem wreszcie Stacha — gdzie ja mógł widzieć tę pannę.

— Zapewne spotkałeś ją kiedy, wychodząc z mieszkania lub wracając do niego, bo czas jakiś mieszkała w tym samym, co i my, domu,

— Ah, prawda! Teraz już wiem. Wpadła mi w oko wtenczas, kiedy to flirtowała ze Stachem w bramie domu—w początkowym okresie jego kłopotów pieniężnych.

— Żenisz się?—rzuciłem znowu pytanie.

— I tobie radzę to samo zrobić — odparł Stach, uśmiechając się rozkosznie.

— Projekt niezły,—ale, ażeby zabrać się do jego skutecznienia, trzeba, według mego zdania, dojść w pierw do pewnej równowagi umysłowej, wyrobić w sobie ostateczne, ściśle określone, ideały życiowe...

— Et, głupstwo!—przerwał Stach, lekceważąco machnąwszy ręką.

Uczulem chłód w kościach.

— Jakto, głupstwo? Przecież nie zechcesz chyba przypuszczać, ażeby mi wystarczyło samo życie fizyczne t. j. zwierzęce... Każdy z nas, kto tylko zalicza się do inteligencji, zakłada sobie w życiu jakieś podniosłe cele: coś czci, kocha, do czegoś dąży.

— Wiem ja o tem, wiem, bom i sam tak kiedyś myślał. Ale są to tylko piękne słówka, jak się dla mnie stało jasnem, kiedym poddał je ściśle krytycznemu rozbirowi. Zresztą, nie myślę bynajmniej zaprzeczać im prawa bytu. Przepędzanie czasu, jak i każde inne. Ale życie, mojem zdaniem, jest tylko życiem i niczem więcej. Wszelcy filozofowie i myśliciele w piętkę gonią, nadaremnie usiłując rozwikłać to, co z samej natury rzeczy rozjaśnione być nie może. Nie po to żyjemy, aby, naśladowując Prometeusza, w coraz bledszych odbitkach przedstawiać tę wspaiałą niedorzeczność, — o, nie! Poprzestańmy lepiej na tem tylko, co nam danem zostało, gdyż więcej, jak mi się zdaje, nigdy nie zdobędziemy. Lecz jeśli potrafimy umiejętnie wyzyskać to wszystko, co jest w naszej mocy, to w rezultacie otrzymamy sumę szczęścia nie mniejszą od tej, niepewnej, którą mamy nadzieję inną drogą uzyskać dopiero w dalekiej przyszłości. Co lepsze?—nie potrzebuję chyba długo się rozwodzić. Powiesz może, iż poglądy moje są poziome, ale ja uważam to właśnie za ich największą za-

tę: wolałbym nawet łązić na czworakach, aniżeli, bujając umysłem w podniebnych sferach, rozbijać sobie codzień nos o najgłupsze drobiazgi rzeczywistości.

Taki bezdenenny egoizm zadowolonego z siebie samca wiał z tych słów, że nie próbował nawet słówkiem zaprzeczyć mu, ani tembardziej wdawać się w dowodzenia. Szedłem obok niego spokojnie, niczem nie okazując swego bólu i oburzenia, i tylko coraz silniej i coraz głębiej przenikała mnie świadomość słuszności tych smutnych wniosków, na które nie tak dawno naprowadziło mnie bliższe rozpatrzenie się w objawach życia.

Lecz Stach, z uśmiechem raz wraz spoglądając na wiotką, pełną wdzięku, pięknie zarysowaną figurkę swej narzeczonej, począł teraz z głębi przepełnionego szczęściem serca kreślić dosadnymi słowami obraz swego obecnego nastroju, swych myśli, uczuć i pożądań. Jest szczęśliwy—przekonanie to przenika go teraz na wskrós, lecz ileż to chwil ciężkich, ile burz wewnętrznych, ile smutków rozpacznych przejść musiał, zanim doszedł do jakiej takiej równowagi umysłu! W chwili, kiedy to mówi, wie już, że wewnętrzny spokój jest niezbędną podstawą szczęścia. Ów złoty środek, na który niegdyś powstawał za każdym razem z nowym impetem wściekłości, wydaje mu się teraz ideałem życia ludzkiego. Nie żądać rzeczy niemożliwych! — oto hasło, które złotymi głóskami powinno być zapisane we wszystkich umysłach. Dumny jest szczególnie z tego, że całe swoje szczęście obecne sobie wyłącznie zawdzięcza.

— To jest... nietylko sobie. I jej także — do-rzucił z zadumą w głosie, lekkim ruchem głowy wskazując swą narzeczoną.

Spojrzałem na niego z mimowolnem zaciekawieniem. Ton jego głosu dawał do myślenia.

Stach tymczasem ciągnął dalej:

— Pamiętasz zapewne ostatnie chwile naszego wspólnego pożycia? Rozdrażnienie, w jakie wpadłem po przeczytaniu listu Klimeckiego? Rzeczywiście, miałem wówczas uczucie, jakby świat się walił, albo przynajmniej dla ludzi miejsca już na nim brakowało. Wybiegłem na miasto, bez wyraźnego celu, lecz z uczuciem niemożliwości dłuższego istnienia na powierzchni ziemi dwóch takich ostateczności, jakimi byliśmy: ja—z jednej strony, a z drugiej—tłum. Ponieważ jednak rozumiałem dobrze, że tłum, tego ohydne tłumy, tak łatwo jednym ruchem ręki w proch nie zetrą, przeto.. Konkluzja była widoczna. Byłem zdecydowany na wszystko. Jakem to sobie później dopiero uświadomił, sam tylko instynkt, bo nie rozumowanie, pchał mnie na dworzec kolei, gdyż zdawało mi się, że tam najłatwiej połączę się z śmiercią. Lecz nagle poczułem na sobie czyjś wzrok, tak palący, że musiał odpowiedzieć spojrzeniem. Ah!... była to ona!... Szła z matką, więc też nie śmiała zaciepić mnie słowami, i tylko jej oczy, dwie wielkie, promienne gwiazdy, patrzyły na mnie z taką mocą, a jednocześnie z taką miłością i serdecznem współczuciem, że w jednej chwili uczułem przenikający mnie jakby potężny prąd elektryczny, raptownie galwani-

zujący mój instynkt samozachowawczy, zdający się zamierać już we mnie. Naraz ogarnęła mnie szalona żądza życia. Jakto? ja mam ginąć? Dlaczego właśnie ja, a nie inni? Kiedy ja lepszy jestem i więcej wart od innych... Niech wzdychają do grobu ludzie sterani, zużyci, niczego już od życia spodziewać się nie mogący. Lecz przedemną niebo dopiero się otwierało: kochałem, byłem kochany... O! chciałem teraz żyć, żyć za jakąkolwiek cenę! Gotów byłem cały świat raczej zgubić: nie cofnąłbym się przed niczem! Nagle przypomniałem sobie list Klimeckiego, który przed wyjściem włożyłem w roztargnieniu do kieszeni. Tak! to była gwiazda przewodnia, punkt wyjścia na te drogi, na których człowiek staje się możliwym tego świata. Powziąłem teraz odpowiednią decyzję, nie namyślając się ani chwili. Potrzebowałem tylko odpocząć po gwałtownych wzruszeniach, gdyż energia moja bliską była wyczerpania. Zaszedłem więc do cukierni, aby jednocześnie wystylizować do ciebie list pożegnalny... Dalej już wiesz wszystko...

Tak jest. Wiedziałem nietylko to, co potem zaszło, ale i tego, co mi teraz opowiedział, domyślałem się już oddawna. Tylko niewyrozumowany egoizm zwierzęcy mógł go zaprowadzić na tę drogę, po której teraz kroczył z taką powagą.

Skorzystałem z pierwszego lepszego pretekstu, aby opuścić towarzystwo, i śpiesznie wracałem ku miastu. Lecz gorączkowość ruchu nie przyniosła mi nawet chwilowej ulgi zapomnienia. Niedaleko placu Trzech Krzyży usiadłem na ławce, sam nie wiedząc

dobrze, dlaczego to robię. Siedziałem czas jakiś, usiłując zdać sobie sprawę ze swych myśli. Że Stach wyzbył się ostatecznie wszelkich podnioslejszych dążeń—było to już pewnem. Dlaczego jednak to zrobił? Powiada, że odkąd krytycznie zaczął na świat spoglądać, zorientował się wreszcie, że życie jest tylko życiem, czyli, jak on sobie to pewno tłómaczył — jest pewną sumą zwierzęcych uciech, z których należy korzystać, póki jeszcze siły i zdrowie służą. Lecz mniejsza o jego interpretację tego określenia. Dlaczego zasada ta jest na wszystkich ustach i ogół nią się kieruje? Dlaczego jedynie młodzież i szczupła garstka wiecznych entuzjastów dbają o idealne cele i włączają nad poziomy, bliżej królestwa miłości i prawdy, głazie pierś wolniej oddycha, nieskrępowana ohydą naszych stosunków. i gdzie duch nasz doskonali się na szerszem podścielisku etycznym?...

Czas płynął. Zwolna ogarniało mnie teraz uczucie trwogi, przenikające coraz silniej mój systemat nerwowy. Wydało mi się, że grunt chwieje się pod moimi stopami i roztwiera się otchłań bezdenna, w którą zapada się to wszystko, czem żyłem dotychczas, wszelkie.. jak on to nazwał?... złudzenia! Więc się pytałem sam siebie z niepokojem, kto z nas dwóch bliższy jest prawdy, kto lepiej przeniknął treść życia? Czy możliwem jest, aby po całej młodości, obfitującej we wzniosłe i szlachetne porywy, spędzonej na wyrabianiu coraz wyższych i coraz doskonalszych poglądów—pozostała tylko szczerza pustka?

Tak, pustka...

Nagle usłyszałem obok siebie przyciszony głos:

— Wiesz co, Felek, zawarłem niedawno pyszną znajomość. Chcesz, to cię zaprezentuję...

— Co mówisz?

— Mówię, że cię zaprezentuję. Ale wpraw
zjemy obiadek.

Wahałem się dobrą chwilę, lecz naraz tak śmie-
szną wydała mi się tyle już lat prowadzona przeze-
mnie walka z wiatrakami, że szybko podniosłem się,
klepiąc projektodawcę po ramieniu.

— Niezrównany z ciebie chłopiec, mój Zyniu!
Chodźmy!

.
Śmiałem się dużo tego wieczora...

Warszawa, 1896 r.

NA FUTORZE.

OPOWIADANIE.

I.

— *Hej, Oleksa! a nimà tam szczo isty?* — zawołał potężnym głosem pan Ksawery, budząc się z przedpołudniowej drzemki. Zaraz jednak odwrócił znowu twarz do ściany, gdyż rażący blask słońca wydał mu się nieznośnym.

Była to prawdziwa orgia światła, potop palących promieni, zalewający nieduży pokój, służący panu Ksaweremu za sypialnię i kancelaryę jednocześnie. O tej południowej godzinie jednego z ostatnich dni czerwca, gdy cała natura zdaje się obumierać w obezwładniającym skwarze, promienie słońca, dostając się tu przez zabrudzone szyby zamkniętego, dla ochrony od much, okna, ognistym potokiem padały na przeciwną ścianę, poczem, odbite od białego tynkowania pokoju, łagodniejsze już światło rozsiewały dokoła. W złotych jego blaskach wirowały pośrodku pokoju tumany delikatnego pyłu, zasłaniającego jak-

by leciuchną, przezroczystą mgłą znajdujące się tu sprzęty, a więc: stojący pod oknem stolik ze stosami rejestrów gospodarskich i przyborami piśmiennymi, półki z książkami, wieszadło z kupą różnego odzienia, kilka stołków, a wreszcie łóżko z brudną bielizną i leżącym na niem panem Ksawerym. Po kątach pająki zręcznie usnuły misterne siatki, a nad łóżkiem Chrystus zwracał ku niebu bolejące oczy.

Po kilku minutach pan Ksawery rozbudził się już na dobre: przeciągnął się, aż kości zatrzeszczały, ziewnął, przetarł oczy, i znów luknął:

— *Ołeks! dawaj i - i - i - styl!*

Gdy jednak wołany nie zjawiał się i w głębokiej ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu bzykaniem much lub ćwierkaniem świerszcza z poza pieca, nie było słyhać, nawet w dalszych pokojach, najmniejszego szelestu, pan Ksawery wstał z wolna i począł się prostować, wyciągając zaciśnięte dłonie do powąły. Był to mężczyzna młody jeszcze, najwyżej trzydzieści kilka lat mieć mogący, wysoki, tęgi, o rumianej, okrągłej twarzy, wielkich, szafirowych oczach, bujnej blond czuprynie i zawiesistych wąsach. Ubrany był w krótki, zbrudzony kitel płócienny, nieprany widocznie od zeszłego roku, i wzorzysto wyszywaną koszulę; na nogach miał długie buty, bardzo zapyłone i ozdobione grudkami przyschniętego błota.

Po chwili z lekkim zniecierpliwieniem uchylił drzwi i parokrotnie powtórzył wołanie.

Wreszcie dały się słyszeć ciężkie, powolne kroki i Ołeks, chłop młody i łorodny, jakkolwiek niższy

i szczuplejszy od swego pana, spokojnie wszedł do pokoju, przecierając zaspane oczy.

— Dawaj jeść!

— Żebyż to co było! — odburknął niechętnie Ołeks. — Toż panicz sam wczora ostatnią kurę zjadł.

— Jakto, nie niema? — zdziwił się pan Ksawery. — Jakiś kawałek mięsa musiał pozostać. A zresztą trochę chleba i sera wystarczy na teraz. Wołaj mi tu najlepiej Paraskę.

— Chyba to ona co pomoże? Przecież wczoraj na wieczór zjadł panicz resztki, jakie tylko były. Teraz i nam już wszystkim głodno — mruczał Ołeks, wydając się z pokoju.

Pan Ksawery obojętnie skrzył papierosa, zapalił i przeszedł parę razy przez pokój. Podobne kłopoty gospodarskie nie robiły już na nim wielkiego wrażenia. Zżył się z niemi, podobnie jak pies przyzwyczajony do razów swego pana, zwłaszcza, jeśli natura obdarzyła go silnymi nerwami. Przez całą młodość i wiek męski oswajał się z niemi, gdyż od śmierci ojca siedział wciąż na roli.

Gdy przed kilkunastu laty, po śmierci starego, obejmował ojcowiznę, był jeno wiele obiecującym młodzieńcem, który, co prawda, gospodarstwa rolnego uczył się dotychczas wyłącznie metodą poglądową, lecz natomiast posiadał spory zasób energii życiowej, mogącej rozsadzić daleko większy majątek, niż futor parusetmorgowy, pozbawiony przytem nawet skrawka rzadkiej w tych stronach łąki. Wezwany telegraficznie z Kijwa, gdzie bawił dla dokończenia edu-

cyi, czyli nabrania pięknych manier, młody dziedzic szybko uwinął się z pogrzebem ojca, poczem jał lustrować swą majętność.

Czcząc tradycyę, przedewszystkiem zawezwał przed swe oblicze całą służbę dworską, aby wszem wobec i każdemu z osobna wyjawić program swej przyszłej działalności. Stawili się tedy, z trwogą w sercu, lecz rozrzewniającą radością na twarzy: gospodyni wiodąca szczuplutki hufcyk mniej lub więcej nadobnych dziewoi, i gumienny, na czele parobków i innych famulusów płci męskiej—razem było tego kilkanaście indywiduów. Małowąsy, lecz rozrosły ziemianin wejrzał okiem znawcy na trwożną gromadkę, kupiącą się przed gankiem, i odrazu zrozumiał dwie rzeczy: że jest ich za dużo, jak na nieduży obszar Wincentówki (tak zwał się jego futor ojczysty), i że niezbędną jest zamiana sił starszych na młodsze, mogące pracować intensywniej, a więc odpowiednie wobec mającego nastąpić gruntownego przewrotu w systemie gospodarczym.

W cichej Wincentówce, śniącej dotychczas w błogim spokoju wpośród pól barwnych a żyznych, zaczął się nagle ruch, zamieszanie, wprost rwetes. Dziwnem zrządzeniem losu pierwsze opuściły futor mniej nadobne dziewoje, unosząc ze sobą wspomnienie przybytku nienaruszonej cnoty. Na ich miejsce nastały rumianolice i szerokie w biodrach Marusie i Chapki, typ postawnych i okazałych niewiast, ukochany przez pana Ksawerego. Najpiękniejszej z nowoprzybyłych miała nieszczęście nie podobać się gospodyni, więc

też poszła za to precz, a ważny urząd szafarki objęła w swe potężne, lubo nieco szorstkie dłonie owa najpiękniejsza, Ołena Kucenko, mająca oczy, jak dwa morza, usta, jak wiśnie, co zaś do innych szczegółów najwidoczniej modelowana przez matkę - naturę na wzór boskiej Wenus Kallipygos.

Jednocześnie zachodziły inne zmiany: naostatku podziękował za służbę gumienny, dawny sługa, cieszący się w swoim czasie zupełnem zaufaniem starego pana, przytaczając na wytłómaczenie, iż wobec nowych porządków czuje się niezdatnym do dalszej pracy. Lecz pan Ksawery mało dbał o podobnych starsuszków i dobierał sobie wciąż nowych ludzi.

Na czas jakiś zapalił się do gospodarstwa: zaprowadzał ulepszony płodozmian, próbował hodowli rogatych i innych stworzeń, bodaj że marzył nawet o przemyśle.

Tymczasem lata mijały, a z niemi pierzchały i złudzenia. Sam pan Ksawery śmiał się teraz z wyznawanej zrazu zasady ekonomicznej: jak najwięcej produkować:—w młodości pochwylił ją z książek, lub nawet wprost z powietrza, i, dorwawszy się poladziłania, usiłował ją stosować, jak umiał. Skutek był ten, iż narobił kupę długów, a gospodarstwa bynajmniej nie polepszył. Więc też, dochodząc trzydziestki, zaczął uczuwać potrzebę mniejszego ryzyka a większego spokoju, i nieświadomie zaczął się kierować hasłem swojskiem, samorodnem: jaknajmniej wydawać. Usuwał tedy zbyteczną służbę, sprzedawał nie-

potrzebny a kosztowny inwentarz i pozbywał się wszelkich śladów komfortu u siebie w domu

Z biegiem czasu szeroką Olenę zastąpiła Marusia, Marusię—Maryjka, Maryjkę wreszcie Paraska. Ta ostatnia, jako gospodyni, oprócz trosk o nakarmienie pana Ksawerego i swego dziecka, miała już na głowie jeno Oleksę, furmana, parobka, lokaja i totum-fackiego, oraz starego stróża, Jelyseja—gdyż ci tylko ludzie mieszkali teraz na futorze. Jednakże, pomimo tak małej ilości żołądków do nasycenia, zdarzały się teraz chwile, że na całym obszarze futoru nie znalazłbyś nic jadalnego. Pan Ksawery bowiem, lubo mniej wydawał obecnie, mniej też zarabiał, a przysięgł, że z powodu pewnego nieporozumienia, nie mógł rachować na pomoc zwykłych dobrodziejów szlachty. Oto, zaciągnąwszy pożyczkę bankową, pospłacał, co prawda, dokuczliwszych wierzycieli, poznanych jeszcze w okresie „idealnych wzlotów“, jak sam nazywał minioną epokę wczesnej młodości—lecz i z pomiędzy paru pozostałych jeden szczególnie, łysy Jojna, odznaczał się natarczywością w upominaniu się o ową, niewielką zresztą należność. Kiedy doszło do tego, że na rozjemcę w sporze przyzwał żyd komornika, pan Ksawery sprzedał, co jeszcze miał, oprócz ziemi, do sprzedania i należność uiścił — znalazłszy się jednak niedługo potem sam na sam z łysym Jojną w zacisznym miejscu, wytargał go podobno za tabaczkowo-żółtą brodę, a nawet, jak głoszono w miasteczku, wybił mu zdrowy ząb. Tego już było zanadto dla wzburzonej opinii długobrodych i długopółych ban-

kierów.— „*Win borodu derè!*“—krzyczano na wzmiankę o nim. — *Szczo win za pan! na chutori sedyt', taj szczo zrobyt', to zjist'* — dodawali inni pogardliwie. I zaraz niektórzy, trwożliwsi, usunęli się od wszelkich z nim interesów, śmielsi zaś gotowi byli dać dowody swej dobrej woli, ale za to stali się bardzo wymagającymi. Więc też pan Ksawery, nie chcąc znosić odwetu żydowskiego, więcej jeszcze zasklepił się na swym futorze, i żył teraz z jego tylko płodów, a to w sposób najzupełniej prymitywny.

.....
Dnia tego nie miał jeszcze nic w ustach. Od rana włóczył się po polach, napawając się widokiem zbóż gęstych i plennych. Pszenica stała, jak mur, łańcem długim i równym. Chwilami ze środka gęstwiny ździebeł rozchodził się szept stłumiony, i nagle garść kłosów chyliła się na bok, naginając swym ciężarem inne, i znowu inne, aż wszystkie rozkołysały się łagodną, harmonijną falą i migotały w słońcu złotym odblaskiem. Zapach zbóż, mający w sobie jeszcze coś ze świeżości poranku, snuł się wciąż ponad łańcami. Cicho i dobrze było wśród tych rozłogów bezbrzeżnych, gdzie oko obejmowało bez przeszkody najdalsze widnokręgi, a umysł pogrążał się w letargiczną otchłań zapomnienia.

Wróciwszy z obejścia, pan Ksawery, nie czekając na zadysponowane śniadanie, położył się spać, jak to miał zwyczaj stale czynić przed obiadem. Spał krótko. Obudziwszy się, poczuł wileczy apetyt. Więc też zrobiło mu się nieco markotno, gdy Oleksa po-

wiedział, że nie jeść niema. Ale nie było się jeszcze o co gniewać—należało raczej rozsądnie i spokojnie obmyślić środki zapewnienia sobie obiadu.

Chodząc wielkimi krokami po pokoju i ćmiąc papierosa, czekał pan Ksawery na Paraskę, aby z tą najpraktyczniejszą na futorze osobą obgadać świeżo powstałą, już nie palącą, ale wprost szarpiącą wewnętrzności kwestyę. Szło o to, aby bez pieniędzy i bez zapasów w domu zgotować obiad dla czterech osób. Przed paru bowiem dniami ulotnił się z futoru ostatni rubel, a teraz może i pięciu kopiejek nie udałoby się zebrać, już po przetrząśnięciu wszystkich kieszeni i skrytek. Pan Ksawery wciąż poszukiwał na wszystkie strony kupca zbożowego, aby za jakąbądź cenę spieniężyć przyszły urodzaj, ale kupców nie było. Kupować na puń, i jeszcze od pana Ksawerego—to za duże ryzyko jest! Wobec tego, trzeba było dobrze sobie wprzód głowę nałamać, zanimby się udało coś wymyślić. Że zaś dla pana Ksawerego ciężkim był wszelki wysiłek mózgu, więc zawołał do siebie Paraskę.

Tymczasem z dalszych pokoi zaczęły dochodzić jakieś ostre dźwięki. Pan Ksawery przystanął, wyjął z ust papierosa i słuchał. Był to wciąż wzmagający się płacz małego dziecka. Chwilami rozlegał się donośny, nabrzmiały złością głos kobiecy, i znów głośniejszy wrzask malca.

Pan Ksawery cały zamienił się w słuch i — w myśl, a gdy po chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich młoda, muskularna kobieta, w krótkiej, za

kolana, czerwonej spódnicy i haftowanej koszuli, rzekł zaraz głosem rozkazującym:

— Przygotuj mi nowe ubranie i koszulę czystą.

I, świsnąwszy na psa, śpiącego pod łóżkiem, wyszedł przez sąsiedni pokój do ogrodu.

Paraska powstała chwilę, jakby dziwiąc się niespodziewanemu rozkazowi, poczem splunęła głośno i poszła uspokajać dziecko, płaczące wciąż w głębi domu.

W ogrodzie owionęło pana Ksawerego powietrze upalne, ciężkie, wyciskające z ciała strugi potu, jak w łaźni parowej. Nawet w cieniu kilku lip, stojących na uboczu w skupionej gromadce, nie znalazł ani krzty orzeźwiającego chłodka. Szedł więc nieco na lewo, gdzie rósł stary gaj wiśniowy, podszyty gęstwą wielkich, sztywnych łopianów i osnuty festonami dzikiego chmielu. Przedarłszy się przez las bujnych pokrzyw, sięgających mu do pasa, oraz poprzez nieprzeliczone rozgałęzienia ramion pnących roślin, splatających się w niejednym miejscu w istic gordyjskie węzły, dostał się nareszcie do wnętrza gaju, gdzie natychmiast jął nachylać ku sobie gałęzie i całe drzewka, przyczem szybkimi ruchami obrywał napół zeschłe już wiśnie, które zaraz z chciwością rozgryzał. Lecz po chwili poczuł, że każde wzniesienie rąk i wyprężenie ciała wywołuje nowy strumień potu i jakby lekkie omdlenie; że zaś i wisien było niewiele, więc patrzył przez chwilę osowiałym wzrokiem doko-

ła, jakby szukając świeżości, pełnej cienia — poczem wyszedł z gaju.

Miał teraz przed sobą trawniki, na których nie widać było żdźbła trawy, gdyż zagłuszyły ją kolosalne burzany. Człowiek ginął w nich, jak w gąszczu leśnym. Ale pan Ksawery miał dobry wzrost i dostrzegł niedaleko od siebie gwałtowne kołysanie się roślin.

— Cezar! do nogil

Rozchyliły się wysokie łądygi pod gwałtownym naciskiem psa, pędzącego wielkimi susami, i po chwili rasowy wyżeł, zziąjany, z wywieszonym językiem, łasił się już u stóp pana, na co jednak ten ostatni nie zwrócił najmniejszej uwagi. Miał bowiem teraz przed sobą lekką pochyłość, giniącą w kotlinie, w której gdzieś lśniła się lustrzana tafla jeziora, gęsto przerośniętego szuwarami. Wilok ten pochłaniał go całkowicie. Przypominał sobie obecnie, że nieraz zdarzało mu się wśród lata bić tu przelotne ptactwo, i para cyranek lub krzyżówek szła zwykle zaraz na pieczyste. Nie miał ze sobą strzelby, ale nie chciał mu się wracać po nią do domu, więc postanowił tymczasem zrobić przegląd jeziora z pagórka, wznoszącego się tuż obok. Po niewielkiej pochyłości dostał się na sam szczyt wzniesienia, poczem położył się na miękkiej i wonnej murawie, w cieniu gęsto krzewiącej się tarniny — i patrzył.

Przed nim na znacznej przestrzeni kołysało się morze świeżej, soczystej zieloności, poprzedzielanej w paru miejscach długimi a wąskimi ramionami

nieruchomej, gładkiej, jak szkło, wody. Ramiona te pośrodku obszaru łączyły się ze sobą w jedną niebieską taflę, tworząc jakby okno, w którym odbijał się czysty, bez skazy, błękit niebios. Wiatru nie było, jednak kity oczeretów chwiały się na swych wysokich łądogach i mieniły się a iskrzyły na słońcu, jak proporce nad hufcami.

Dalej, gdzie grunt był już twardy, złociły się nieobjęte okiem łąny zbożowe. Poza jasno-żółtą, dojrzewającą już pszenicą widać było siwą zieloność owsa, dalej srebrzyło się żyto, jęczmiona zbitym gąszczem kładły się na ziemi, a tam, het, na krańcu widnokregu, jak śnieg białł się w słońcu wąski smużek hreczki.

Pana Ksawerego, leżącego w cieniu tarniny, ogarnęło senne rozmarzenie. Szły tu ku niemu z dalekich pól powiewy, niosące w sobie upajające zapachy dośladłego zboża i melodyjne głosy nawołujących się przepiórek, usypiał go szmer trzciny na jeziorze, przeciągły i głuchy. Sam sobie wydał się teraz tak małym, tak nieznaczającym prochem wobec ogromu otaczającej go natury, iż mógł wreszcie odczuwać wyraźnie, jak ciężar istnienia coraz mniej nużyć go poczyną, i duch jego, uwolniony z obroży ciała, unosi się w powietrzu, roztapiając się w oceanie szczęścia.

Lecz panteistyczne to rozmarzenie pierzchło niespodzianie, jak sen poranny, skoro przy jednym z ramion jeziora dał się słyszeć nieokreślony szelest, podobny do trzepotania skrzydeł ptasich, i na wąskiej

smudze wody, przeświecającej wśród zbitych ścian żywej zieloności, ukazały się regularne koła, rozchodzące się coraz dalej rozszerzającemi się stopniowo kręgami. Pan Ksawery skupił na tem zjawisku bystre spojrzenie. Po chwili uniósł się na łokciu i podniósł głowę. Lecz powierzchnia wody już się wygładziła i charakterystyczny szelest nie powtarzał się więcej. Zerwał się teraz na równe nogi i patrzył chciwie na niebieszczącą się wstęgę i na otaczające ją lany oczeretów, których kity chwiały się wciąż monotonnym, przeciągłym ruchem.

Cisza jednak panowała teraz dokoła, cisza senna, omdlewająca, świadcząca jakby o wyczerpaniu natury po nadmiernym wysiłku życiowym. W zionącym żarem powietrzu tylko dokuczliwie uparte duże zielone muchy krążyły bezustanku, lub czasem pszczoła zabrzęczała koło lip starych, stojących na uboczu, — pozatem panował spokój zupełny. Ptactwo poukrywało się przed słońcem, umilkł szczebiot szarego drobiazgu, donośny wrzask kraski i melodyjne pogwizdywania wiwilgi. Bezwładnie i cicho zasnęły drzewa i kwiaty, jakby zastygłe i skamieniałe, jeno dalekie zboża falowały wciąż leniwo, mieniając się w słońcu złociście.

Po chwili, zawoławszy na psa, pan Ksawery ruszył ku domowi; skrzył jednak wnet na boczną ścieżkę i, doszedłszy do chróścianego płotu, gęsto oplecionego festonami pnących roślin, po przełazie wydostał się na podwórze.

Było tu niemniej pusto i cicho, bodaj że jeszcze

puściej i nieznosniej. Ogromne podwórze, otoczone paru szpetnemi budynkami, a do reszty zagrodzone płotem, ciągnęło się w kształcie wydłużonego czworokąta ku dworowi, który zdaleka promieniał istnieniami jeszcze w paru miejscach śladami tynku. Ziemia była tu spękana i spalona na cegłę, gdzieniegdzie tylko zieleniło się grono rozłożystych łopianów, lub nikła, wyżółkła trawka kryła się trwożliwie w jakim zagłębieniu.

Żar dusił taki, że pan Ksawery zrobił w myśli porównanie podwórza do patelni, a siebie do smażącego się na niej befsztyku. Pomimo to zaszedł zwolna do pierwszego z brzoza budynku, stojącego na uboczu, a przylegającego do ogrodu, i, uchyliwszy drzwi, zajrzał od niechcienia. Była to szopa na pługi i wogóle narzędzia gospodarskie; wychylał się tam z cienia siewnik rzędowy, bliżej leżały pogłębiacze, ekstirpatory i nieco innych narzędzi, których przeznaczenia niepodobna się było domyślić.

W pewnej odległości stała porządniejsza i nieco wyższa, choć również drewniana budowla, od której zalatywał silny zapach koni i świeżego siana. Pan Ksawery przeszedł obok niej, nie zatrzymując się wcale, gdyż widok kilkunastu szkap, zjadających z apetytem swój obiad, był mu teraz więcej niż obojętnym. Natomiast zmarszczył brwi na wspomnienie parobków, których kilku najmował na czas letnich miesięcy do orki i zwózki zboża. Wszyscy chodzili na obiad i na noc do chat swoich, na wieś, o dwie wiorsty blisko odległą. Była to mitręga czasu niela-

da—rozumiał to wybornie pan Ksawery, nie mógł urządzić tego inaczej, wobec braku mieszkań na futorze, oraz wątpliwości, czy zdola najemnikom zapewnić regularne pożywienie.

Teraz przegląd obejścia był już prawie uskutecziony. Pozostawał tylko po drodze spichrz, gontem kryty, oraz przy wrotach dwie budy psie i lepianka, w kształcie piwniczki, rezydencya stróża.

W cieniu, rzucanym przez okap, z dwóch desek zrobiony, siedział przed nią did Jelysej, siwiejący już dobrze i nieco łysawy, lecz krótko przyszyty, o twarzy drobnej, zmarszczonej, ogorzalej, i z zarostem, niegolonym już od dni kilku. Śledził on już oddawna z zajęciem powolne zbliżanie się pana Ksawerego. Co chwila rzucał dokoła z pod nastroszonych brwi badawcze spojrzenie, a jednocześnie wydłużał żwawo z kromki czarnego chleba niezbyt już świeży ośrodek, który natychmiast łożował z widoczną przyjemnością. Skórki chleba krajał w kostkę, wrzucał do garnuszka i nalewał wodą, poczem solił, mieszał i jadł drewnianą łyżką.

Gdy pan Ksawery był już niedaleko, did schował do lepianki resztę chleba i garnuszek, a sam podniósł się zwolna, wsparty na kiju grubym i zakrzywionym, i ściągnął na siebie przystojnie brunatną szwitę, przepasaną zielonym, włóczkowym pasem.

— *A szczo, didu,* — rzekł dobrotliwie pan Ksawery, podchodząc ku niemu. — *Tępleńkij deń majem.*

— *Ta, sławu Bohu!* — odrzekł did, ściągając

z głowy czapkę baranią i kłaniając się nią nisko. — *Tilki szczo sonce duże pecze. Wże słyszkom...*

Nastąpiła chwila milczenia. W dużych niebieskich oczach pana Ksawerego malowało się teraz zapomnienie, spokój zupełny, prawie roślinny, a na ustach osiadł uśmiech łagodny, okrywający twarz całą aureolą dobroci i prawdziwie męskiej wyrozumiałości.

— *Jakby tak doszczyk małeńkij* — ciągnął did, poczuwając się do obowiązku przedłużenia rozmowy.

— *A na szczo wam, didu, doszcza treba?*

— *Tu jakże! Na doroz taka kuriawa stoit'—prosto duszyt'... a na poli żyto wże, choť żny. Zerno sypat'sia bude...*

— Prawda! — potwierdził melancholijnie pan Ksawery, zatapiając smętne wejrzenie w odległych widnokręgach, dymnoszarych od długotrwałego upału.

Znowu zapanowało milczenie, ale na krótko, gdyż did, który w trakcie rozmowy rzucał często okiem na twarz swego chlebobawcy, jakby badając jego nastrój chwilowy, poprawił nagle pasa, przestał pić z nogi na nogę, i rzekł głosem cichym, szeptem prawie:

— *Ja, panyczu, szczo obida ne iw. Jakby tak...*

Wtem urwał, gdyż brwi pana Ksawerego zesunęły się nagle, tworząc pośrodku czoła głęboką, zastraszającą bruzdę, a oczy przybrały groźny wyraz karzącej sprawiedliwości. Pod siłą tego spojrzenia did natychmiast opuścił wzrok ku ziemi i, przekładając dla kontynansu czapkę z ręki do ręki, jął zagłę-

biać się w sobie, kureczyć, maleć, garbić, jakby wstydzając się teraz swego na świecie istnienia.

Po długiej chwili okropnej ciszy, od której krew ścięła się w żyłach dida, chwili, długiej jak nieskończoność, przemówił nareszcie pan Ksawery, wolno, rozważnie, akcentując każdy wyraz zosobna. Głos jego był poważny i surowy, jakby głos ojca, strofującego swe dziecko, ale nie gniewny bynajmniej.

— A czemu to dziś w nocy nikt nie czuwał na podwórzu około mojego dobytku? Czemu się nikt nie odezwał na moje gwizdanie? Czy może myślisz, didu, że ja ciebie będę w nocy zastępował? Opuszczasz się bardzo w ostatnich czasach. Wcale swej służby nie pełnisz...

Did milczał, pochyliwszy nisko głowę. Cierpliwie, choć z niepokojem, czekał dalszego ciągu. Ale pan Ksawery przestał już mówić: piorunował go jeszcze tylko przez chwilę spojrzeniem, poczem odwrócił się na pięcie i poszedł zwolna ku dworowi.

W dida nagle wstąpiła odwaga: wyprostował się, błysnął groźnie okiem i chrząknął, jakby zabierając się do mówienia. Ale było już zapóźno, — pan Ksawery oddalał się coraz bardziej.

— *Cur pek!* — mruknął stary, splunawszy głośno za odchodzącym.

Wściekał się teraz na siebie za swoje niedołęstwo. Że też nie zdobył się na odwagę, aby choć raz wypowiedzieć słowa prawdy temu... temu... *czortu b jolo!* Przecież miał słuszość za sobą, bo że tam zdrzemnął się w nocy troszeczkę, to nawet umyślnie

to uczynił, aby go ze służby uwolniono. Sprzykrzyło mu się już życie na futorze. Radby na stare lata odpocząć nieco w chacie, u swoich, — a tu jeszcze kontrakt na pół roku. Innyby dawno rzucił służbę, nie oglądając się na nikogo. Ale did Jelysej wie dobrze o swojej wadzie, którą jest paniczna obawa przed panem Ksawerym. Ileżto razy przysięgał sobie, że postawi się nareszcie ostro i pod pierwszym lepszym pretekstem opuści służbę. Wszystko na nie! Raz jeden odważył się wspomnieć o swojej chęci udania się na odpoczynek do syna: wnukówby tam kołysał, a chlebaby mu nie żałowali, jako że synową ma dobrą. Ale pan Ksawery skrzyczał go strasznie, omal nie obił i najsurowiej zabronił opuszczać służbę przed terminem. Po jakimś czasie did znowu powrócił do swej myśli, ale do celu zamierzył dojść chytryością. I w tej oto chwili uczuł się pobitym na wszystkich punktach. Myślał, że zostawi pana bez stróża, a tymczasem nie tylko tego nie dopiął, ale jeszcze pan zostawił go bez obiadu.

Więc też did kipiał. Wykonywał nieokreślone ruchy rękami i nogami, pod nosem mruczał coś gniewnie, a w ręku konwulsyjnie ścisnął kij sękaty, tak ścisnął, że aż go dłoń zabolala. To go otrzeźwiło. Spojrzał przytomnie dookoła i nagle — poczuł na głowie takie gorąco, jakby mu tam kto wsadził rozpalony garnek. Pomacał ręką łysinę: był jeszcze bez czapki! Cofnął się czemprędzej pod okap lepianki i usiadł w cieniu. Po długiej chwili zniknęły mu wreszcie z przed oczu czerwone koła i poczuł się le-

piej. Zdjął pas, przeciągnął się rozkosznie i—nagle błysła mu nowa myśl. Spojrzał trwożliwie na dwór, pogrążony w słonecznej ciszy, usadowił się wygodniej i—sięgnął ręką do lepianki po garnuszek z wodą i nową kromkę chleba.

II.

Napotkawszy w sieni Oleksę, pan Ksawery wydał krótki rozkaz: zaprzęgaj konie do bryczki,—i poszedł do swego gabinetu, gdzie już była przygotowana świąteczna odzież. Ubierał się prędko, zrzucając na podłogę niepotrzebne już części swego stroju. Dopiero, gdy nakładał tużurek, przypomniał sobie, że jeszcze nie wie, dokąd ma jechać. Natychmiast zrobił w myśli krótki przegląd najbliższych sąsiedztw. Wszystkie wydały mu się dalekie i nie takie, jakiemiby je mieć pragnął. Jednakże trzeba było gdzieś jechać na obiad, lub choćby na skromną przekąskę, bo nie miał najmniejszej ochoty morzyć się głodem na futorze. Lecz wyboru w sąsiedztwach nie było wielkiego. Mógł mieć dobry obiad, ale dopiero za parę godzin, w Żurbińcach, w Turynowskich o dobrą milę odległości; albo też o dwie z górą, w Buzówce, w Wyhowskich. Były to jednak domy pańskie pełne sztywnej, nakrochmalonej powagi. Przy stole rozmawiano tam wszystkimi językami świata, i o sprawach,

dla zwykłego śmiertelnika niezrozumiałych. Pan Ksawery nie lubował się w takich towarzystwach: trzeba się tam było łączyć ściśle z każdym słówkiem, z każdym ruchem nieomal, aby nie narazić się na ironiczne, a dotkliwe, jak baty, spojrzenia współbiedników. Znał to dobrze, o, zbyt dobrze, aby się chciał znowu narażać.

Tymczasem bryczka zaturkotała przed gankiem, więc nałożył płócienny kitel i czapkę maciejówkę, i był już gotów. Zdecydował się teraz odrazu. Niedaleko, o małą milę załedwie, mieszkał na lewadzie towarzysz jego lat dziecinnych, pan Gustaw Czubiński. Niegdyś łączyła ich ścisła przyjaźń, pospółu używali rozkoszy życia wiejskiego, razem też do szkół w Kijowie chodzili. Później dopiero wyszła na jaw niezgodność charakterów. Czubiński przekładał nade wszystko życie spokojne, więc też ożenił się młodo, poczem przycupnął na swej lewadzie i po uszy pogrążył się w pracy. Tymczasem pan Ksawery prosił życie szerokie, utrzymywał liczne stosunki, często wyjeżdżał z domu, więc też przedział tworzył się między dawnymi przyjaciółmi coraz większy, tak iż po pewnem nieporozumieniu zaszedł między nimi z powodu nieoddanej przez pana Ksawerego kilkunastorublowej pożyczki, zaprzestali się zupełnie widywać. Jednak w ostatnich czasach, skoro pan Ksawery, zmuszony wrogiemi okolicznościami, zmienił zupełnie tryb życia i zdomowił się na swoim państwie, bliscy sąsiedzi znowu spotykali się niekiedy, choć po zostały załedwie drobne ślady ich dawnej wzajemnej

życzliwości. Teraz jechał do Czubiniec, nie uplanowawszy jeszcze nawet pretekstu niespodziewanej wizyty, byle tylko trafić na czas obiadu.

Oleksa podciął konie, ruszyli. Przy wrotach stał już did Jelysej, z odkrytą głową, patrząc żalownie i ciekawie na odjeżdżających. Panu Ksaweremu wydało się nawet przez chwilę, że spojrzenie dida było nieco drwiącem, ale zapomniał wnet o tem, zajęty ważniejszymi sprawami.

Konie szły szparko, wzbijając z pod kopyt tłumy kurzu, które grubemi warstwami osiadały na odzieniu i twarzach wciskając się do ust, nosa i uszu. Dokoła kołysał się tuman, gęsty, jak mgła, wieczorami na łąkach się snująca.

Skwar był nieznośny. Powietrze, nieporuszone najłżejszym podmuchem wietrzyka, wisiało bezwładne, zionąc upalnym oddechem, jakby z rozpalonego pieca się dobywającym. Z obu boków drogi widać było nieskończone, zda się, obszary dojrzewającego już zboża, głównie pszenicy, która sennie chyliła pełne, długie kłosa, żarząc się w słońcu blaskiem szczyrego złota.

Wkrótce wyjechali na gościniec. Droga była tu znacznie szersza, okopana rowami, poza którymi widać było gdzieś gdzieś suche tyki, wskazujące miejsca, gdzie ktoś kiedyś chciał sadzić drzewa. Ruchu nie było prawie żadnego: czasem tylko ociężałym krokiem przesunął się chłop jaki, niosąc na ramieniu kosę, migocącą w słońcu, jak błyskawica, lub wóz zaskrzypiał przeraźliwie, i pan Ksawery miał możność

ogłądać przez chwilę parę siwych wołów, pochyłonych w jarzmie, dalej spaloną na cegłę twarz ukraińskiego autochtona, który z pod szerokiego słomianego kapelusza leniwie włóczył wzrokiem po okolicy, wreszcie kobietę, pośrodku wozu usadowioną, starą, szpetną, zwracającą bezmyślnie ciekawą twarz ku przejezdny i pokazującą w otwartych szeroko ustach zęb pięknej żółtej barwy, jeden jedyny, jaki pozostał z istniejącego zapewne niegdyś większego ich kompletu. Ale pan Ksawery nie był dziś w wesołym usposobieniu, więc mało go to wszystko zajmowało. Skupił się teraz w sobie, fizycznie i umysłowo, przejęty jednym tragicznym pytaniem, wciąż mu na myśli siedzącem: co będzie, gdy sąsiada nie zastanie? — Aż drgnął, wyrwany niespodzianie z zadumy, gdy Oleksa zawołał wesoło:

— Oś, wże i Czubińce!

Miał obecnie przed sobą porządnie zabudowany folwark, okolony chruścianym płotem i obsadzony gęsto młodemi drzewami. W pewnem oddaleniu widać było duże sioło, z wystrzelającą pośrodku białą malowaną cerkiewką, uwieńczoną u góry trzema zielonemi kopułami. Bliżej zaś oko z rozkoszą wchłaniało widok wielkiej masy zieloności, wyraziście uwydatniającej się na tle otaczających ją dokoła ogromnych obszarów zbóż srebrzysto żółtych. Lipy, brzozy, osokory, kłosa i akacje, gęstemi kupkami, lub pojedynczo, otaczały dworskie budynki, zachodziły aż na podwórze, a za dworkiem, bielejącym się w głębi, rozrastały się bujnie w gąszcz ciemny i uroczy. Przytłu-

miony turkot kół, gładko toczących się po zarośniętem trawą podwórzu, zbudził dwa ogromne brytany, które, wypadłszy z budy, poczęły ujadać z wściekłością, szczerząc kły i szarpiąc się na łańcuchach; dalej gromada kur rozbiegła się trwożnie we wszystkich kierunkach a gęsi, siedzące poważnie na trawniku, podniosły się, wydłużyły szyje, spoglądając z niepokojem na przybywających. Przed gankiem, opartym na dwóch słupach, pan Ksawery wysiadał powoli, otrzepując kurz z rękawów, w oczekiwaniu, czy nie wyjdzie kto na powitanie. Lecz nie było widać nikogo. Po chwili dopiero z dalszego okna wychyliła się głowa młodej, rumianej dziewczyny, i zaraz znikła. Pan Ksawery polecił Olesie odjechać na bok i zaczekać gdzie w cieniu, a sam wszedł do sieni, w której oprócz wieszadeł i wielkiej szafy nic więcej nie było. Zdjął więc sam wierzchnie ubranie, poczem grzebykiem, wydobytym z kieszonki od kamizelki, podczesał czuprynę, podkręcił wąsy, gdy nagle w sąsiednim pokoju rozległ się szelest spódnicy i tupot bosych nóg. We drzwiach ukazała się niska, tęga dziewczyna, o szerczkiej pełnej twarzy, i zatrzymała się w milczeniu, spoglądając pytająco na gościa.

— Czy jest pan w domu?

— Niema pana—odparła dziewczyna, spuszcza-
jąc skromnie wzrok ku ziemi.

— O!—zdziwił się pan Ksawery.

— Pan wyjechał,—dodała, zesznurowując bar-
dziej usta.

— Kiedy?

— Tylko co. Zaraz po obiedzie.

Piorun, spacający w tej chwili z jasnego nieba, nie mógłby zrobić większego wrażenia. Przed oczami pana Ksawerego zawirowały nagle czarne płatki, jakby rój motyli, a wewnątrz.. wewnątrz poczuł głód, straszny głód tęgiego, dobrze odżywianego człowieka. Natychmiast jednak trzeba było powziąć decyzję co do dalszego działania. Oparł się więc od niechcenia o szafę i spytał nieco cichszym głosem:

— A pani?

— Pani jest w ogrodzie.

— To... powiedz, żem ja przyjechał i... chcę się
widzieć z panią.

Dziewczyna spojrzała znów na niego ciekawie swemi małemi niebieskimi oczyma i z wolna, jakby z wahaniem, odeszła w głąb domu.

Pan Ksawery uchylił na lewo drzwi, prowadzące do pokoju, o którym wiedział, że się nazywa salonem. Nie było w nim nikogo, więc wszedł, nasłuchując, czy kto nie nadchodzi. Był to niski, wesoły pokój, o bielonych ścianach, na których wisiało niewielkie lustro w prostych drewnianych ramach i kilka pospolitych oleodruków. Pod ścianą stał garnitur mebli, krytych jasnym perkalikiem w kwiaty. Z boku widać było komodę i półki z książkami. Snuty tu się lekkie, zaledwo dostrzegalne wonie ziół, coś jakby rumianku, to znów doleciał z kądzis zapach świeżego chleba, streszczający w sobie obecnie dla pana Ksawerego wszystkie zalety życia rodzinnego, które dotychczas miał w pogardzie.

Cisza panowała zupełna.

Przeszedłszy parę razy przez pokój, pan Ksawery odsunął na bok fotel i usiadł, zakładając nogę na nogę. Pracował teraz myślą, jak wódz, układający plan kampanii. Szło o to, aby zapomocą umiejętnego prowadzenia rozmowy doprowadzić panią domu do zaproponowania gościowi jakiej przekąski: tak na przykład kilku butersznytów, poprzedzonych maleńkim kieliszeczkiem wody życia. No, przed czemś pożywniejszem, naturalnie, teźby się nie wzdragał, ale trudno było o tem nawet marzyć. Czy tylko aby Czubińska się domyśli? Gotów był jednak siedzieć tu pół godziny, całą nawet, albo i dwie, gdyż jeść chciał za jakąbądź cenę.

Czas płynął w oczekiwaniu. Było już dobrze po pierwszej. Za ścianą dał się słyszeć płacz dziecka, głos piastunki, potem płacz zaczął cichnąć a natomiast zabrzmiała przeciągła, uspokajająca melodia piosenki:

— Oj, maju, maju ja oczeniata.
Nikoho, maty, ta ohladaty,
Nikoho, serdeńko, ta ohladaty...

Ostatni wiersz, powtórzony, drżał w powietrzu długą, nieskończoną nutą, która, jak nić złota, oplątywała pana Ksawerego. Było w tym śpiewie jakieś ciepło, głębia uczuć prostych a serdecznych, budzących nawpół uśpione wspomnienia dawnych, dobrych

czasów. Minione sny szczęścia wracały w całym swym blasku, zapawając serce błogim spokojem.

Po chwili ten sam głos śpiewał znowu:

— Oj, maju, maju i ruczeniata.
Nikoho, mateńko, ta obnymaty,
Nikoho, serdeńko, ta obnymaty...

Zakrywszy oczy dłonią, siedział teraz pan Ksawery, jak skamieniały. Fale dawno już, dawno nie odczuwanych wzruszeń szły po nim, jak wichry, bawianący senne zwierciadło wody. Zapomniał, gdzie jest i po co przyjechał, sądził się znów małym dzieckiem, przytulonem do kolan matki i słuchającym w ekstazie prostej, lecz wdzięcznej piosenki, której treści umysł jego nie chwycił, lecz tem więcej upajało go bijące od niej ciepło, serdeczne i ten spokój roślinny, wygładzający z pamięci wszystkie doznane bóle i troski.

Lecz rzeczywistość upomniała się wkrótce o swoje prawa, gdyż dziecko, widocznie nanowo rozbudzone, poczęło wrzeszczeć donośnie, i śpiew natychmiast umilkł. Za ścianą dał się słyszeć ostry głos kobiecy, w którym pan Ksawery poznał ton pani domu, więc, szepnąwszy: nareszcie! — podniósł się z fotela i podszedł do okna, niby to z ciekawością wyglądając na podwórze.

Jakoż zaraz otworzyły się drzwi i do pokoju weszła żwawym, drobnym krokiem pani Czubińska,

kobieta młoda, choć z cerą nieco sfatygowaną, średniego wzrostu i średniej tuszy, z oczami czarnymi, wyrażającymi chwilowo napół zmieszanie, napół ciekawość. Przywitawszy się, wskazała gościowi miejsce i sama siadła na kanapie.

— Przepraszam pana, że kazałam na siebie tak długo czekać, lecz tyle zajęcia mam ciągle w ogrodzie.

— Ależ, pani, to naturalne! Podobno jednak nie zastałam Gucia?

— Wyjechał dopiero co do Medwina. Ma tam jakieś interesa...

— Których, naturalnie, pani nie wyjawiał. Ah, ci mężowie!

Lecz Czubińska nie uchwyciła nitki rozmowy, tak misternie nawiązywanej przez pana Ksawerego, i za całą odpowiedź spojrzała na niego z taką ciekawością, iż zrozumiał, że trzeba wyjaśnić powody tej niespodziewanej wizyty. Mówił więc dalej ze spokojem, niby nie widząc jej niemego zapytania.

— Żałuję bardzo, że go nie zastał. Teraz, póki się jeszcze żniwa nie rozpoczęły, my, gospodarze, możemy znaleźć czasem jaką godzinkę na rozmowę, a tyle rzeczy znalazłoby się do obgadania! Przytem chciałem uregulować pewien rachunek, — z dawnych czasów... Jadąc teraz, widziałem u państwa bardzo ładne zboża. Urodzaj zapowiada się obfity.

— Tak, chociaż zbyt sucho jest w polu. Ale mąż mój jutro dopiero wróci, bo ma tam nocować w Medwinie u Herszka.

— Ten Herszko jest doprawdy nieśmiertelny.

Będąc smarkaczem jeszcze, widywałem go zawsze z tą samą siwą brodą. Nic się od tego czasu nie zmienił. I zajązda ciągle utrzymuje w takim stanie, w jakim go odebrał po przodkach. To jest prawdziwy konserwatysta, do szpiku kości. O żadnych nowych dogodnościach nawet słuchać nie chce. Ja bo już wolę hotel Timezenki. Widziała pani zapewne, jak ładnie schody teraz ozdobił?

— Nie. My zawsze stajemy u Herszka. Tam taniej.

— No, tak. Można się zresztą przyzwyczaić, a wtedy nowość nie smakuje, czujemy się wobec niej obco zupełnie. Byłem ostatni raz w Medwinie na instalacji nowego proboszcza. Bardzo sympatyczny staruszek. A pani jakże się podobał?

— Nie widziałam go jeszcze. Nigdzie teraz nie wyjeżdżam, bo ciągle mam tyle zajęcia... w ogrodzie szczególnie. Dzieci zresztą...

— U mnie w ogrodzie wszystko pousychało lub zarosło. Ludzi brak mi zupełnie. Niema komu opiełać grządki ani podlewać. Co to będzie w żniwa? aż mnie strach przejmuję.

Zamyslił się przez chwilę pan Ksawery nad czarną przyszłością żniw. Skorzystała z tego Czubińska, nie mogąca w żaden sposób domyślić się powodu jego wizyty, co ją nawet trochę niepokoiło, bo chciała jaknajprędzej wrócić do pozostawionych w ogrodzie bez nadzoru robotnic.

— Jeśli pan ma jaki interes do męża, to mógłbym ja go mogła załatwić?

— Eh, cóż znowu, proszę pan! To kiedyin-dziej można zrobić. Jeszcze się z Guciem przecież nieraz zobaczę a zresztą, to nie pilnego. Jakże się miewają maleństwa pani?

— Ładue maleństwa! Najstarszy ma już pięć lat, a wielki taki, że nad podziw! Przecież widział pan chyba naszego Józia?

— Józia! Ależ naturalnie. Tylko zdawało mi się, że mu Jaś na imię.

— Jaś, to drugi z kolei. Ten mały jeszcze, ma trzy lata. Urwisy jeden w drugiego. Ledwo ich można upilnować, aby sobie czego nie zrobili. Ot i teraz biegają po ogrodzie, a jak tylko mnie nie widzą, to zaraz chcą wlażyć na drzewa. Tak się zawsze boję..

— To do owoców tak się pewno rwą— rzekł pan Ksawery, uśmiechając się coraz milej.—Nic dziwnego, wisien w tym roku tak dużo i tak są wyborne. Ale u mnie już prawie wszystkie oberwane: ledwo parę znalazłem dziś w ogrodzie..

Nagle przestał mówić, gdyż znowu zabrzmiał śpiew, który niedawno zrobił na nim takie wrażenie. Melodya prosta, jednostajna, przedłużała się teraz w nieskończoność, rozciągana przez echo, jak nitka z wrzeciona.

Oj, maju, maju i nożeniata, —

Ta ni z kim, mateńko, potanciuwaty, —

Ta ni z kim, serdenko, potanciuwaty...

Dziwna rzecz: teraz śpiew ten rozdrażniał go tylko. Wyczuwał w nim wyraźnie bezlitosną ironię, urągającą osamotnieniu, w jakim pozostawał wśród świata i ludzi, nie mając serc bliskich a kochających. Budziło to w nim gniew i chęć do dalszej walki. Spojrzał na Czubińską; siedziała niespokojnie, co chwila oglądając się na drzwi; cała jej postać wyrażała przymus ogromny, ledwo powstrzymywany. — Kuta baba! — pomyślał pan Ksawery, który, pod wpływem dręczącego uczucia głodu, nabierał o niej przekonania, że umyślnie tak się z nim droczy, aby go tylko zmusić do upokarzającego wyznania, iż nie jeszcze dziś nie jadł. Zapominał chwilami, że ona nie czyta w jego sercu, ani tembardziej w żołądku. Postanowił jednak nie ustępować. Gdy więc Czubińska, spojrzawszy znowu na drzwi, za którymi słychać było jakiś szelest, zrobiła nieokreślony ruch, jakby chciała się podnieść, pan Ksawery przysunął natychmiast swoje krzesło bliżej do kanapy, rozsiadł się w niem wygodnie i, przechylając się ku niej wdzięcznym ruchem, zagadnął najmielszym swym głosem:

— Czy będzie pani w tym roku na zabawie u Szamockich?

Czubińska znowu rzuciła na niego bystre spojrzenie. Stanowczo był dziś dla niej sfinksem: wiedziała napewno, że siedzi i bawi ją w jakimś celu, bo w przeciwnym razie pocóżby jej i sobie zabierał czas drogi, roboczy, — chybaby zwaryował. Ale co to mógł być za cel?

Nagle drgnęła, jakby olśniona jakimś widzeniem, i odsunęła się ku środkowi kanapy. Tak, to nie mogło być co innego! Ten głos miękki i pieszczotliwy, ten niezwykle wyraz twarzy, oczy zaokrąglone i błyszczące, dziwne rumieńce na policzkach, wszystko to było aż nadto wyraźne! Zakochał się! O, Boże! A tu męża niema. Co począć?

Przez chwilę zmagala się z opanowującym ją wzruszeniem. Wypadało jednak dać odpowiedź. Rzeka więc, siląc się na ton obojętny:

— Nie wiem jeszcze, choć prędzej nie, bo trudno brać dzieci ze sobą.

Pan Ksawery dostrzegł to jej wzruszenie, i natychmiast poczuł pismo nosem. Zrazu brał jej skromne zachowanie się za zwykłe objawy drażliwości delikatnej natury kobiecej, lecz teraz widoczna obawa, z jaką się od niego coraz dalej odsuwała, doprowadzała go do pasji. Jakto! więc ona obawiała się jego! Jego, łagodnego teraz, jak baranek, któryby palca na nikogo nie zakrzywił, byleby mu dano kawałek mięsa. O, Boże! Ty widzisz to i nie grzmisz?

Jednakże więzy towarzyskie jakie sobie rodzaj *homo sapiens* dla uprzyjemnienia żywota wymyślił, okazały się niemożliwymi do potargania. Pomimo burzy, jaką czuł w sobie, pan Ksawery uśmiechał się wciąż przyjemnie i, podkręcając z melancholią wąsa, usiłował jeszcze podtrzymywać rozmowę:

— Pogodę, chwała Bogu, mamy teraz ładną.

— Panie, co pan mówi! — oburzyła się, dotknięta w swe gospodarskie sedno, Czubińska. — Toż wszystko

na proch spalone. W ogrodzie każde drzewko, każdy krzaczek, każdą główkę kapusty muszę codzień podlewać wodą ze studni, bo inaczej poschłyby oddawna. O, panie, jeszcze takiej okropnej pogody w życiu swoim nie widziała! Od miesiąca ani kropli deszczu...

— No, nie wszędzie przecież, — bronił się zmieszany nieco pan Ksawery, który pod wpływem gniewu zaczynał tracić świadomość swych słów. — Urodzaje w każdym razie będą niezłe.

— Słoma licha, ziarno liche! — machnęła ręką Czubińska, odsuwając się na drugi koniec kanapy. — Mąż mówił, że się niczego dobrego w tym roku nie spodziewa.

Pan Ksawery czuł, że coraz bardziej traci szanse pomyślnego zakończenia wizyty. Resztkami woli utrzymywał przyjemny wyraz twarzy, pragnąc natłnąć panią domu przekonaniem, że żadne niebezpieczeństwo jej nie grozi. Lecz nie nie pomagały te zabiegi, gdyż Czubińska z opowiadania męża wyrobiła sobie o panu Ksawerym zdanie, iż jest to człowiek, który na wszystko się odważy. Szukała teraz tylko protektu, aby uciec, choćby z zapomnieniem swego stanowiska gospodyni domu i obowiązków, jakie miała względem gościa.

Zapadło milczenie ciężkie i przykre. Pan Ksawery obliczał w myśli czas, jaki tu już przesiedział, chyba godzinę, co, jego zdaniem, było aż nadto wystarczającym, aby nastąpiła propozycja lekkiej przekąski! Ah! z jakim upragnieniem oczekiwał tej chwili, kiedy Czubińska, wymówiwszy sakramental-

na formułę: Przepraszam pana na chwileczkę — wyjdzie zarządzić przyjęcie! To też przeszedł go dreszczyk rozkoszny, gdy ujrzał, jak podniosła się z twarzą, wyrażającą jakieś postanowienie. Zdecydowany był niebardzo się drożyć ze swą zgodą, chyba tylko małą odrobineczkę dla zachowania pozorów. Tymczasem patrzył w nią, jak w tęczę.

Czubińska stała przez chwilę w niezdecydowaniu, jakby szukając odpowiednich wyrazów.

— Przepraszam pana — rzekła wreszcie głosem prędkim, urywanym — ale tyle mam teraz zajęć... i o dzieci jestem ciągle niespokojna... Doprawdy, przykro mi bardzo... Przepraszam raz jeszcze..

Zrobiła rżski dyg i odeszła pośpiesznie, oglądając się na strony, jakby w obawie pościgu.

Pan Ksawery narazie eniemiał. Na coś podobnego nie był wcale przygotowany. Zerwał się nareszcie na równe nogi, ale już poniewczasie, gdy uciekł nawet odgłos jej szybkich kroków. Pocom ja tu przyjechał? poco?—pytał sam siebie w największej pasyi, posyłając za odchodzącą niezliczoną ilość zdań krótkich, lecz dosadnych, zaczynających się od: *szczob tebe*—i zaciskając potężne pięści. Ah! głód teraz czuł taki, że z rozkoszą szarpałby jej białe ciało! Niechby się świat później zapadł, byleby on teraz guiew swój i głód nasycił! Ale odeszła! drzwi mu wprzód pokazawszy!

Gdy się nieco uspokoił, nałożył w sieni biały kitel i kaszkiet i w posępnem milczeniu wyszedł na ganek.

Na podwórzu nie było widać nikogo. Konie jego, zwolnione z uździenic, pasły się na trawie, nieco nalewo, koło sporego spichlerza, w cieniu drzew gęstych i wysokich. Oleksy nie było. Dopiero po pewnej chwili dojrzał go pan Ksawery, siedzącego okrakiem na oknie, tem samem, przez które wyjrzała dziewczyna, zwabiona turkotem bryczki. Siedział—i bawił się widać dobrze, bo aż na ganku słychać było wyraźnie jego śmiech głośny i inny, cięśszy chichot, odpowiadający mu w głębi kuchni.

Panu Ksaweremu nie podobał się ten jego dobry humor.

— Kuchty emabluję — pomyślał — i lepiej mu z tem, niż mnie po salonowej rozmowie.

— Oleksa!—krzyknął nagle wielkim głosem, aż echa odpowiedziały z budynków.—Konie!...

Wołany wychylił głowę z okna, jakby dla sprawdzenia, czy pan jest już na ganku, poczem zeskoczył na ziemię i podszedł do bryczki. Gdy podjechał przed ganek, pan Ksawery wszedł, nie mówiąc ani słowa, i ruszyli, robiąc wielki popłoch wśród ptactwa.

III.

Wyjechawszy na dużą drogę, gdzie znowu podniosły się i zawirowały w powietrzu kłęby kurzawy,

Oleksa siadł na koźle nieco bokiem i począł zukosa obserwować swego pana. Ten widocznie dostrzegł jego manewry, gdyż zapytał nagle:

— Czego to chcesz?

— Ehl nic... Chciałem tylko zapytać, czy też paniczowi dali co jeść?

Pan Ksawery zrobił rozpaczliwy ruch ręką.

— *Trastia ich matir!*—zaklął półgłosem.

Po chwili, przejęty ciągle jedną myślą, kamieniem leżącą mu na sercu, zapytał znowu:

— Jadłeś?

— A jakże! — odparł z filuternym uśmiechem Oleska. — Kucharka niczego dziewczyna... Nakarmiła...

Pan Ksawery z gorzką ironią rozmyślał teraz oślepej Fortunie, która zezwala na podobną społeczną niesprawiedliwość: sługa syty, a pan jego z głodu omdlewa... Żle jest na świecie stanowczo!

Z rozmyślań tych wyrwał go znowu głos Oleksy:

— Ile tam oni kur mają! sami chyba nie wiedzą, ile. A jakie wszystkie tłuste! na podziw. Nie darmo ciągle pośladem karmią...

Takby u nas choć kilka...

— A to czemużeś ich nie wziął? — mruknął z wymówką w głosie pan Ksawery.

Prawda! Oleksa aż się zawstydził, że mu taka prosta myśl nie przyszła wcale do głowy. Pośladu, którego trochę przygotowano w kuchni do południowego karmienia, wziął kilka garsteczek, niby przez

zwykłą ciekawość, i schował do kieszeni, Bóg wie nawet, poci? A o czemś ważniejszym nie pomyślał...

Nic nie mówiąc, zatrzymał konie, oddał lejce i bat panu Ksaweremu i począł zlażyć z koźła.

— Co to? — zapytał zdziwiony pan Ksawery.

— Pójdę; — odparł Oleksa, skinąwszy głową w kierunku Czubiniec.

Pan Ksawery do złego czynu namawiać go nie myślał. Podciął więc zaraz konie i, nie spojrzawszy nawet na odchodzącego, jechał dalej pomału, aby nie męczyć próżno koni, już i tak zmydlonych od spiekoty słonecznej. Leniwym, sennym wzrokiem włóczył dokoła, ogarniając spojrzeniem rozległe obszary pól, okrytych gęstem zbożem i pograżonych w siniejącej, świetlistej jasności. Wkrótce dostrzegł jastrzębia, zawieszonego wysoko w błękitach, jak czarny nieruchomy punkcik, z rozpostartymi szeroko skrzydłami. Zajął go ten widok niezmiernie: ciekawy był rezultatu polowania. Po chwili rzeczywiście jastrzęb runął na dół, jak kula, lecz widocznie upatrzona ofiara zdążyła spostrzedz go i uciec, gdyż nad samą ziemią zatoczył szerokie półkole i znowu uniósł się w górę. Pan Ksawery aż się uśmiechnął z kłopotu jastrzębia i pogroził mu batem.

Koło wrót stał, jak i przy odjeździe, did Jelysej, wyprostowany, z głową odkrytą. Pan Ksawery oddał mu lejce i zapytał:

— *A de Paraska?*

— *Piszła na sęto.*

— *Koły?*

Did podrapał się w głowę i po chwili dopiero odpowiedział:

— *Ne tak, szczerob duże dawno. Powynna wże szywdko wernut'sia.*

Trzeba się było kontentować tą odpowiedzią. Nierad, że nikogo niema teraz pod ręką, z kimby mógł pogadać, pan Ksawery poszedł wolnym krokiem ku dworowi, zajrzał tam do każdego pokoju, wreszcie w swojej kancelaryi zdjął tużurek i położył się na łóżku. Zrazu głód mu dokuczał, ale wkrótce zasnął smacznie.

Tymczasem Ołeksza szedł wielkimi krokami do Czubiniec. Nie miał jeszcze ułożonego planu, w jaki sposób zaopatrzyć się w prowianty, lecz był pewny, że nie wróci z próżnemi rękoma. Na wyprawę ruszył głównie przez wzgląd na swego pana, ale i naturalna żylka do niebezpieczeństw grała niemałą rolę w jego postanowieniu. Niezmiernie bowiem lubił takie drażliwe sytuacje, dla wydobycia się z których musiał rozwijać cały zasób sprytu, przenikliwości i sprawności fizycznej, jakimi był obdarzony, a teraz nastroczała się wyborna ku temu sposobność.

Zdaleka już zaczął się przyglądać Czubińcom, gdyż przez rozwarte wrota widać było cały folwark, jak na dłoni. Na lewo, zaraz za psią budą, stał drewniany, wysoki kurnik, dalej z za płota wychylała się kępka drzew ogrodowych, za któremi bielili się dwór, błyszczący jaskrawo w słonecznym blasku. Na wprost widać było ciemną zielen ogrodu.

Na prawo zaś były stajnie, obora, a na końcu podwórza, tuż obok ogrodu, stał obszerny śpichlerz. Nastroczała się zatem przedewszystkiem wątpliwość, z której strony dogodniej będzie rozpocząć atak. Z lewej, około kurnika, można było zapewne spotkać więcej kur, ale za to w zbyt bliskim sąsiedztwie była psia buda, a śpiące w niej pieski mogły go zwęszyć i szczekaniem zmusić do ucieczki. Zdecydował się przeto pójść na prawo.

Ostrożnie, prawie na palcach stąpając, omijał Ołeksza niebezpieczny punkt koło wrót folwarku, gdzie łatwo mógł być dostrzeżony. Jakoż nie omyliło go przecucie. Psy, poczuwszy obcego człowieka, zerwały się nagle z zajądłem szczekaniem, czytając na podwórzu piekielny hałas, bo i spacerujące po podwórzu ptactwo domowe odpowiedziało donośnemi oznakami przerażenia. Najgłośniej rozbrzmiewało wrzaskliwe gęganie gęsi i bulgotanie indorów. Ołeksza jednak szedł już teraz poza stajniami dużym miarowym krokiem i nie zwracał nawet uwagi na podwórzowe hałasy. Pomału wszystko się uspokoiło, tylko podejrzliwe psy poszczekiwały jeszcze kiedyniekiedy.

Na tyłach budynków ciągnął się wąski pas gruntu, zarośnięty gęstwą łopuchów i bodiaków. Brzęczały tu liczne roje much, wygrzewających się na słońcu, i duży czerwony motyl zamigotał czasem, siadając na ciepłej ścianie stajni, w pobliskim zbożu rozlegały się głosy przepiórek. Okrążywszy tą drogą zabudowania, znalazł się Ołeksza poza śpichrzem,

od którego chróściany płot szedł aż do ogrodu, zaczynającego się tuż obok. Położył się na trawie, w cieniu, padającym od kilku rozrosłych wiązów, i patrzył ciekawie na podwórze przez szczeliny w płocie.

Zarosły trawą dziedziniec służył widocznie za pastwisko dla domowego ptactwa, gdyż błądziły po nim spore stada kur, gęsi, indyków i kaczek, z całym spokojem istot, znajdujących się na swoich śmieciach. Oprócz ich niemilknącego pogwaru nie dochodziły tu żadne inne odgłosy życia. Nawet stróża wcale nie było widać; widocznie wzięto go do roboty na łąkę lub do ogrodu.

Oleksa wobec tego spokoju decydował się już wyjść śmiało na środek podwórza i wybrać dla siebie co najpiękniejsze sztuki, gdy nagle psy, które już przycichły były zupełnie, poczęły znowu wściekle ujadać, całe podwórze napełniając swym wrzaskiem. Nie widział ich Oleksa, ukryty za śpichlerzem, ale czuł dobrze, że to jego mają na myśli. Przycupnął więc znowu pod płotem i czekał, co będzie dalej. Szczekanie jednak nie ustawało.

Po chwili wyszła z kuchni dziewczyna w jaskrawej czerwonej spódnicy, trzymając w ręku dużą kromkę czarnego chleba. Rozglądała się przez czas jakiś po podwórzu, jakby pragnąc dojść przyczyny psich hałasów, ale nie dostrzegłszy nic podejrzanego, zbliżyła się do brytanów i, podzieliwszy kromkę, rzuciła im po połowie. Psy natychmiast ucichły. Oleksa ze swego ukrycia dojrzał znowu dziewczynę, jak wracała do kuchni, i chwyciła go niespodziewanie ogromna chę-

tka zwabienia jej tu do siebie, dla zawarcia bliższej z nią znajomości. Przed godziną poznał ją trochę przy pogawędce: nie byłaby pewno od tego. Ale zarazem przeleciała mu przez głowę myśl, że zajęłoby mu to zbyt wiele czasu i że nie mógłby już następnie nic wziąć z podwórza, nie narażając się na podejrzenie. Więc dał pokój, tembardziej, że i dziewczyny nie było już na dziedzińcu.

Tymczasem, w miarę tego, jak minuty upływały za minutami w naprężonem oczekiwaniu na chwilę sposobności, ogarniała go coraz więcej senność ogromna, słodka, kojąca. Od ziemi szedł ciężki, ciepły oddech, który go upajał, czasem wiaterek zaszeleścił wśród drzew mu nad uchem w przelocie, lub zahuczał w pobliżu. Zwolna zapadał w rozkoszne omdlenie, z którego nie wyrwałby się za żadną cenę, choć miał świadomość tego, że usypia. Cały świat widomy zmieszał w jego oczach swe zarysy; brzęczenie owadów i odgłosy, dochodzące z podwórza, zlały się w jedną harmonijną nutę, wreszcie powieki przymknęły się ociężale—i zasnął...

Nad futorem czubinieckim, pogrążonym w ciszy i słonecznym blasku, unosił się ciągle anioł spokoju. Cała natura zdawała się omdlewać i usypiać pod gorącymi promieniami, spływającymi rzeszcie z rozpalonej kuli słońca, która już zwolna chyliła się ku zachodowi. Snop tych promieni, przedarłszy się przez gęstwą szarej zieloności wiązów, spoczął przez chwilę na twarzy śpiącego pod płotem.

Oleksa obudził się nagle. Przetarłszy oczy, spostrzegł złote pasma słonecznych blasków, oświetlające prawie horyzontalnie zakątek, w którym spoczywał. Odrazu stało się dlań jasnym, że, przespawszy ze trzy godziny, musi teraz śpieszyć się bardzo, aby jeszcze zdążyć zrobić cośkolwiek przed zachodem. Inaczej wyprawa się nie uda: kiedy ludzie powrócą z pola, powstanie ruch znaczny na folwarku, a wkrótce potem psy zostaną spuszczone z łańcuchów, i stróż obchodzić zacznie budynki. Wówczas będzie zapóźno.

Tymczasem na podwórzu trwał wciąż spokój jednaki. Rzuciwszy okiem dokoła, Oleksa zrozumiał, że tylko z tamtej strony płotu można będzie pokusić się o zdobycz: bo tutaj kury nawet nie zachodziły. Podniósł się więc zaraz, ale przytem czuł, że mu coś na prawym boku dolega. Sięgnąwszy ręką do kieszeni, znalazł w niej kilka garści pośladu, zabranego niedawno z kuchni, a który uwierał mu ciało, gdy się we śnie na prawy bok odwrócił. Była to okoliczność wielce pomyślna, że się przynęta na podórzedziu znalazła, bo inaczej kuryby się najniezawodniej z'łapać nie pozwoliły. Przesadził zatem płot ostrożnie, aby nie robić hałasu, i przykucnął w ustroonym zakątku podwórza, tuż koło śpichrza. Wkrótce dostrzegł w niewielkiej odległości stadko kurcząt, rozgrzebujących z zapalem kawałek nagiej ziemi, i zaczął im rzucać po garsteczce pośladu, nawołując zcicha:

— Cip... cip... cipuski...

Kury zbiegły się natychmiast całem stadkiem, chwytając z chciwością ziarno. Oleksa podawał im je z kocią łagodnością i czekał, aż się zbliżą dostatecznie; a gdy nadeszła chwila właściwa, wyciągnął ostrożnie ręce naprzód i nagłym, szalenie szybkim ruchem pochwycił, jak w kleszcze, dwoje co najpiękniejszych kurcząt. Reszta rozbiegła się z niepokojem. On zaś, poskręcawszy swym ofiarom głowy, przerzucił je za płot dla bezpieczeństwa i znowu przykucnął na ziemi, łagodnie nawołując rozpierzchle. Tym razem czekał dłużej, ale skutek był ten sam. Mógł był już na tem poprzestać, lecz tak się rozgorączkował tem szczególnem polowaniem, że postanowił jeszcze jedną parę pochwycić. Sprawa to była nielada, bo kury, spłoszone, rozpierzchły się po całem podwórzu i nie okazywały chęci powrotu. Oleksa jednak uparł się przy swoim i, przyklękąwszy na jedno kolano, nawoływał je wciąż przyciszonym głosem, naśladując ruchem ręki rzucanie ziarna. Cierpliwość jego była już na wyczerpaniu, zarówno jak i poślad, nęcący ptactwo, kiedy nareszcie udało mu się dosięgnąć rękoma jakąś łakomą parę młodzieży. Z radości tak im ścisnął szyje, że aż krew buchnęła z dziobków. Przedostał się z powrotem na drugą stronę płotu i, zabrawszy cały swój łup, dość żwawo ruszył ku domowi.

Był też już czas wielki. Brytany musiały go znowu zwęszyć, bo poszczekiwać poczęły, zrazu z pewnem wahaniem, ale, gdy opuszczał podwórze, uja-

dały już bez przerwy. Daleko, gdzieś na drodze do futoru, rozlegało się skrzypienie wozów i dochodziły ztamtąd niewyraźne echa głosów ludzkich, jakby śpiewów i śmiechów rubasznych. Oleksa, obciążony sześciorgiem kurecząt, musiał szukać ustronnej drogi, więc też, nie namyślając się długo, wszedł na miedze, którymi, nieco kołując, mógł także dojść do Wincentówki. Wszył się w zboża, do ramion mu sięgające, i, rozglądając się pilnie dokoła, poszedł prosto krokiem ciężkim, równym, jednostajnym.

Dzień kończył się już i zapadał w nieruchome półuśpienie. Cicho było na polach i pusto. Na zachodzie wielka żółta kula słońca chyliła się zwolna ku dymnoszarym pasmom nasyczonego kurzem powietrza, które, otaczając dokoła cały widnokrąg, świadczyły o długotrwałej spiekocie.

— Będzie jutro skwar — pomyślał Oleksa, nie przejmując się jednak głębiej tą przepowiednią. Zrobił tę uwagę, ot tak, najzupełniej mimowoli, gdyż myśl o jutrze nie leżała w jego naturze, i szedł dalej, zajęty jedynie odgarnianiem ciężkich kłosów pszenicy, zwisających nad miedzą i zagrządzających mu drogę.

Gdy już był niedaleko Wincentówki i wychodził właśnie z pośród zbóż na prowadzącą do niej drogę, ujrzał w pewnem oddaleniu podążającą w tym samym, co i on, kierunku Paraskę ze sporem zawiniątkiem w ręku. Zatrzymał się wnet i czekał na nią, starannie ukrywając poza sobą niesioną zdobycz. Skoro podeszła bliżej, zawołał wesóło:

— A z kąd to Bóg prowadzi?

— Ze wsi — odpowiedziała z uśmiechem na zaczerwienionej z gorąca twarzy.

— A czymże was, kobieto, Bóg obdarzył? Pewnie coś z pożywienia niesiecie, bo to mądrzy ludzie i sami zawsze syci, i innych jeszcze wspomagają.

Paraska, pogłaskana w swojej miłości własnej i zadowolona z roli dobroczynnej osóbkki, jaką mogła teraz się nasycić, jęła wyliczać niesione przez siebie produkty: bochen czarnego chleba, flaszka wódki, kilka ryb, tarani, i naostatek trochę masła w szmatce.

Oleksa, chcąc jej dogodzić, wykrzykiwał za każdym razem z oznakami podziwu. Ale wśród tych wybuchów radości Paraska spostrzegła skrzydło kureczęcia, sterczące mu z boku, i zapytała ze zdziwieniem:

— A to co?

— To? — powtórzył Oleksa, i, podniósłszy wysoko ręce, ukazał jej zdumionym oczom sześcioro dorodnych kurecząt, które trzymał po trzy w każdym ręku. Paraska omal że nie wypuściła z rąk swego zawiniątka, tak była przejęta tym widokiem. Musiała obejrzeć każde z nich z osobna, co uczyniła z prawdziwym nabożeństwem. Naostatku przyznała, że są ładne.

— Zkądś je wziął? — zapytała podejrzliwie.

— Dali dobrzy ludzie — odparł Oleksa, który wcale nie myślał przyznawać się do swego czynu.

Szli teraz ku futorowi razem, w wybornych humorach. Paraska opowiadała, jaką utarła słowną

musiała stoczyć w chacie z rodzicami, zanim pozwolili jej: wziąć to, co teraz niosła; wódkę zaś wzięła na kredyt, naturalnie na swoją odpowiedzialność, bo panu Ksaweremuby nie pożyczono. Mając kurczęta, będzie mogła przyrzadzić wspaniałą ucztę, aż wszyscy palce zechcą oblizywać.

Przed futorem zaszedł im drogę did Jetysej, już teraz w czapce na głowie, wyczekujący ich powrotu od paru godzin z wielką niecierpliwością. Pożądliwie błyszczące oczy wlepił w zawiniątko, które niosła Paraska, domysławiając się w niem zapasów żywności i zapytał:

— *A szczo nesete?*

Paraska za całą odpowiedź uśmiechnęła się tylko, zakrywając starannie rękami zawiniątko. Ołeksza zaś, który znowu ukrył poza sobą kurczęta, zaszedł nieznacznie z tyłu i wówczas dopiero nagłym ruchem otoczył głowę dida ścisłym pierścieniem pierzastych stworzeń. Did krzyczał i usiłował oswobodzić głowę, ale Ołeksza zręcznie temu przeszkadzał. Przyglądającą się temu Paraskę opanował śmiech, coraz głośniejszy w miarę, jak did czynił ruchy coraz rozpaczliwsze. Śmiał się i Ołeksza, rozbawiony kłopotem dida, wreszcie i sam did, uwolniony z pułapki, rozweselił się na dobre i dla śmiechu podskakiwał zabawnie do kurcząt, które wyższy od niego Ołeksza unosił wciąż do góry.

Gwarno i hałaśliwie weszli w obręb futoru, pogrążonego dotychczas w zupełnej ciszy.

IV.

Wieczór zapadał. Na granatowych głębiach niebios zlatliły się tysiące złotych ogników, rozlewających się, jak iskry pożaru, coraz szerzej i coraz dalej, i coraz wyraziściej uwydatniających się na tle gęstniejących dokoła mroków. Ziemia, spieczona dziennym znojem, zionęła jeszcze ciężkim, gorącym oddechem, ale jednocześnie długimi falami rozchodziły się w powietrzu rzeźwe, jędrne powiewy, zanużające jakby w rozkosznej kąpieli. świeżej, mocnej, usypiającej, całą naturę, kładącą się już zwolna do nocnego spoczynku. Tonące w mroku obszary pól rozległych, zda się bezgranicznych, które o zachodzie miały krótką chwilę przebudzenia, ruchu, gwaru, teraz zapadały znowu w jakąś ciszę głęboką, tajemniczą, w której urywane „pójdźcie żać“ przepiórek i chrapliwy wrzask derkacza, z dolinek płynący, rozbrzmiewał donośnie, jak dzwonek pocztowy, dzwiczący bez echa na drodze wielkiej i pustej. Lecz w miarę tego, jak ziemię osnuwały coraz gęstsze mroki i głębokie cienie, przestwory niebieskie zajaśniały tysiącem jarzących światełek, od których blasku w perłowe tony przechodziło granatowe dotychczas tło nieba. Jakby olbrzymia przepiękna kopuła na-

kryła wszechświat cały, ukołysany do snu słodkiego pod kojącym nocy powiewem...

Na futorze ludzie jeszcze nie spali. Przeciwnie nawet, pan Ksawery teraz dopiero rozbudził się z drzemki, w jaką zapadł po powrocie z Czubiniec. Zajrzał natychmiast do kuchni, ale na widok ożywionej działalności Paraski, która przy pomocy Ołeksy rozpalala ogień, skubała kurczęta, czyściła różny,— cofnął się dyskretnie do swego pokoju, nie chcąc niepotrzebnem, a nawet niewłaściwem w tej chwili gadulstwem opóźniać godziny posiłku. Teraz dopiero dojrzał przygotowaną na stoliku flaszkę z wódką i pół bochna chleba. Jakąż niewysłowioną radością napełniło się jego serce na widok tych przysmaków! Byłby je pochłoniął w okamgnieniu, jak parę ostryg, ale niejednokrotne doświadczenia życiowe pohamowały jego zapal. Wypił tylko dwa kieliszki, które przegryzł sporą kromką chleba; resztę z respektem usunął w kąt stolika, zachowując na później. Zaraz po tej przekąsce poczuł rozchodzące się po całym ciele odżywcze ciepło, od którego krew w żyłach szybciej krążyć zaczęła.

W pokoju, z powodu zamkniętego okna, było gorąco, nawet daszno, tak, iż trudno było oddychać. Spostrzegłszy to, pan Ksawery otworzył je na oścież i wyjrzał na świat. Ogród, pełen głębokich, przepaściстых cieni, stał, pogrążony w bezwładności i prawdziwie martwej ciszy. Słychać było tylko szelest nocnych owadów, bijących skrzydełkami o szyby i trzepających się bez przerwy w nadaremnych wysiłkach.

Ciemność nieprzejrzana zalegała gąszcze drzew i krzaków, ale, wychyliwszy się nieco, dojrzał pan Ksawery het, wysoko, ponad czarnymi koronami lip i wiązów, gwiaździste niebo, tchnące nieopisanym czarem pogodnej letniej nocy. Dziwną mocą ciągnął go ten widok ku sobie, więc bez dłuższego namysłu, tak, jak stał, bez czapki nawet, wyszedł nasycić się rozlaną w powietrzu świeżością.

W ogrodzie ogarnęły go chłodre, rześkie oddechy nocy, które pierś wchłaniała z lubością po całodziennym znoju i skwarze. Przeszedł się kilka razy tam i z powrotem po jedynej uliczce, dzielącej ogród na dwie równe połowy, ale otaczająca go pustka i martwy spokój ciszy niepokoiły go zlekka, wywołując myśli o rzeczach odległych, tajemnych i przerażających. Nie lubił tego, nawet wprost nie znosił: samotnikiem być nie chciał i nie umiał. Z uczuciem pewnego rodzaju przygnębienia przeszedł na podwórze, aby zbliżyć się trochę do ludzi i rozproszyć ich widokiem powstałe w ciszy i mroku obrazy.

Część dziedzińca, koło samego dworu, zalana była jaskrawem czerwonym światłem, buchającym z otwartych okien kuchni. Widać było przez nie doskonale krzątającą się koło komina Paraskę, jak z wypiekami na policzkach doglądała kurcząt, od których smaczna woń, nęcąca podniebienie, zalatywała aż na podwórze. W głębi kuchni siedział na ławie Ołeksa, z harmonią w ręku, i opowiadał coś wesołego słuchającej go jednym uchem Parasce. Po chwili, dostrzegłszy widać niedostateczną uwagę słuchaczki,

uchwycił mocniej harmonię i, spróbowałszy kilku urwanych nagle akordów, począł wtórować sobie do skocznej, zamaszystej piosenki, która wybiegała mu z ust pełną, szeroką nutą:

Hej! postawlu ja kwatyroczku medu,
Taki tebe, mołodońku, zwedù!

Hej! postawlu ja kwatyroczku druñu,
Taki tebe zwedù, mołodu!

Paraska, nie odchodząc od komina, poczęła się z nim przekomarzać, co widać było z zalotnego uśmiechu, z jakim odpowiadała na jego zaczepki! On zaś śpiewał znowu:

Szczęj diwczyna medu ne dopyla,
Pid berezu hołowku skłonyła...

Uwagę pana Ksawerego zwrócili teraz przyciszone odgłosy, dochodzące z drugiego końca podwórza. Przysłuchiwał się im bacznie przez chwilę, ale nic nie mógł rozpoznać. Ostrożnie więc, prawie na palcach stąpając, opuścił swoje stanowisko, jakie zajmował przy jednym ze słupów, podpierających ganek, ukryty w jego cieniu, i zdaleka, dużem kołem obchodził dziedziniec, pragnąc podejść niepostrzeżenie.

Udało mu się to w zupełności. Zbliżywszy się dostatecznie, ujrzał dida Jelyseja, składającego wyraźne dowody dobrego humoru. Widział go doskonale w jaskrawych refleksach światła, padających na jego postać, gdyż did stał nawprost oświetlonych okien kuchennych i z podaną naprzód głową chciwie chwytął milknące tony muzyki. Gdy zaś Ołeksia jął znowu powtarzać na harmonii ten sam motyw, już teraz bez śpiewu, did rozpoczął narodowy taniec ukraiński, szybkimi, drobnymi ruchami wyrzucając w takt melodyi to jedną, to drugą nogę. Czynił to z przejęciem i widoczną rozkoszą: oczy mu błyszczały, na policzkach ukazały się mocne rumieńce, cała postać wykonywała uciężne ruchy. Po chwili, dla dodania sobie większego animuszu, począł podśpiewywać półgłosem:

Hej, podstawlu ja kwatyroczku medu,
Taki tebe, mołodońku, zwedù!

Pan Ksawery na ten widok przypomniał sobie przedewszystkiem, że butelka wódki, która stała u niego na stoliku, nie była wcale pełną: brakowało w niej prawie połowy. Teraz już wiedział, czemu nie była pełną, ale nie myślał się o to gniewać. Niech tam! Wspaniałym wydał mu się natomiast komizm sytuacji. Widok starego dziada, z hulaszczą piosnką na ustach, ubawił go serdecznie. Ale stłumił w sobie

opanowujące go konwulsje śmiechu, nie chcąc zdradzać swej obecności, i, postawszy jeszcze przez chwilę, z uśmiechem na ustach, zawrócił wreszcie ku domowi, dokąd pociągały go coraz silniejsze zapachy, dolatujące z kuchni. Czuł już słinkę na myśl o czekającym nań posiłku, a tymczasem delektował się przepyszną wonią pieczystego.

Jakoż Paraska nakrywała już do stołu. Położyła dwa nakrycia, dla swojego pana i dla siebie, gdyż, jako gospodyni, jadła często razem, poczem ustawiła chleb, sól, butelkę z wódką, i wyszła do kuchni po kurczętą. Pan Ksawery pomyślał o przekąsce—naturalnie dla zaostrożenia apetytu. Nalał kieliszek, wypił, pomyślał i nalał drugi. Ten poszedł jeszcze gładziej. Zakąsił chlebem z solą i zasiadł na swoim miejscu—był już gotów spożywać dary boże...

Uczta trwała niezbyt długo, gdyż kurczęta z nadzwyczajną szybkością znikwały w wygłodzonych żołądkach i oprócz chleba nie było żadnych innych przystawek, któreby urozmaiciły i przedłużały posiłek. Tymczasem Ołeksą nastawił w kuchni samowar, zjadł swoją wieczerzę i poszedł na spoczynek do stajni, gdzie zawsze nocą pilnował koni, bo na dida spuszczać się nie było można.

Słodkie przedsenne znużenie poczęło tulić w rozkosznych objęciach zmęczonych mieszkańców futoru.

Przez otwarte okno łagodnymi falami napływały rzeźwe tchnienia nocy. Pan Ksawery stanął w niem

i spoglądał czas jakiś w mroczne głębie ogrodu. Czuł w sobie fizyczne zadowolenie po zaspokojeniu głodu, którego nie mąciła żadna myśl nieprzyjemna, ani żadna troska. Coprawda, błysnęła mu na chwilę w głowie krótka myśl, że kurczęta sprowadzono na futor w sposób niezupełnie uprawniony, ale pomyślał natychmiast: oddam przecie kiedyś — i uspokoił się zaraz. Wspomnieniem o innych produktach, jak to: chlebie, wódce,—niewarto było sobie zaprzętać głowy. Taka drobnostka! Zresztą miał głębokie przekonanie, że Paraska krzywdy sobie nie da zrobić i odbije na nim w dwójnasób poniesione koszta. Pod temi względami mógł więc być najzupełniej spokojny. Ale w umyśle jego podniosła się teraz wątpliwość: co to będzie jutro? Przez chwilę zajęła go ta kwestya i usiłował wymyślić jaki sposób wydobywania z jakiegokolwiek paru rubli, ale trwało to tylko krótką chwilę.

— O jutrze czas będzie jutro pomyśleć — rzekł sam do siebie.

Posiłkując się jeszcze czas jakiś przy oknie, słuchając jednostajnego krzyku derkacza, odzywającego się z nad łąki, poczem, ziewnąwszy głośno, zamknął okno i przytwierdził je starannie haczykiem do futryny.

Ogarniała go senność coraz większa. Zawołał na Paraskę, aby mu przygotowała posłanie, a sam na krześle czekał cierpliwie, podparłszy głowę na dłoń.

Ale w trakcie oczekiwania niewiadomo kiedy skleili się znużone powieki, głowa przechyliła się na bok i oparła o ścianę, a piers zaczęła się podnosić równym, głośnym, pełnym oddechem.

02124

KONIEC.



Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej”:

kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

<i>St. Kozłowski</i> „ <i>Taboryci</i> ”, dramat w pięciu aktach	tom 1
<i>T. T. Jeż</i> „ <i>W Zaranlu</i> ”, powieść	tomów 3
<i>E. Goncourt</i> „ <i>Bracia Zemganno</i> ”	tom 1
<i>T. Padalica</i> „ <i>Powieści Ukrainskie</i> ”	1
<i>Edm. Rostand</i> „ <i>Cyrano de Bergerac</i> ”, komedia bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego	tomów 2
<i>Irena Mrozowicka</i> „ <i>W płytkim prądzie</i> ”	tom 1
<i>Jonas Lie</i> „ <i>O Zachodzie</i> ”, powieść norweska „	1
<i>Klementyna z Tańskich Hofmanowa</i> „ <i>Krystyna</i> ”	tomów 2
<i>H. Andersen</i> „ <i>Bajki i Opowiadania</i> ”	tom 1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów).

<i>Józef Bliziński</i> „ <i>Obrazki</i> ”	tom 1
<i>Artur Gruszecki</i> „ <i>Szarańcza</i> ” powieść na tle stosunków szlaskich	tomów 3
<i>Juliusz Breton</i> „ <i>Artysta</i> ” (<i>Savarette</i>)	tom 1
<i>Jan Lam</i> „ <i>Wielki Świat Capowie</i> ”	tomów 2
„ <i>Głowy do pozłoty</i> ”	tomów 4
<i>J. W. Goethe</i> „ <i>Reineke-Lis</i> ”	tom 1
<i>Stanisław Pilecki</i> „ <i>Dwa głosy</i> ”	tom 1

Kwartał II r. 1899 (13 tomów).

<i>Marya Konopnicka</i> „ <i>Pod prawem</i> ” powieść	tom 1
<i>Teofil Lenartowicz</i> „ <i>Poezye</i> ”	tom 1
<i>Marya Konopnicka</i> „ <i>Nowele</i> ”	tom 1

<i>Adolf Dygasinski</i> „W Kielcach“ opowiadania i uwagi o czasach szkolnych .	tom	1
<i>Marya Konopnicka</i> „Nowele“	tom	1
<i>Józefat Nowiński</i> „Biała gołąbka“ poemat dramatyczny w 5 aktach	tomów	2
<i>Marek Twain</i> „Bajeczki dla starych dzieci“ przełożone z oryginału przez <i>Alinę Swiderską</i>	tom	1
<i>Michał Synoradzki</i> „Muskietierowie króla jegomości“ romans historyczny. . .	tomów	4
<i>Eliza Orzeszkowa</i> „Jędza“	tom	1

Kwartal III r. 1899 (13 tomów).

<i>K. Junosza</i> „Żywota i Spraw Imć pana Symchy Borucha Kalkkugla ksiąg pięcioro“	tomów	2
<i>Wanda Grot-Bęczkowska</i> . „W mieszczańskim gnieździe“ powieść	tomów	2
<i>Lord Byron</i> „Wędrowki Childe - Harolda“ poemat, tłóm. z ang. przez <i>A. A. K.</i> .	tomów	2
<i>A. K. Smaczniński</i> . „Na dnie otchłani“ powieść współczesna	tom	1
<i>Marya Łopuszańska</i> „Bezkrólewie“ powieść historyczna.	tomów	4
<i>H. G. Wells</i> „Wojna światów“ przekład z angielskiego <i>Maryi Wentz'l</i>	tomów	2

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb. 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

W kwartale IV-tym roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

<i>Edward Maliszewski</i> „Z życia“	tom	1
---	-----	---



